

Teksty Drugie 1991, 6 , s. 83-136



Listy do Eumenid

Miron Białoszewski

Archiwalia

Miron Białoszewski

Listy do Eumenid

[List 1]

16 LUTY 1983

POETA Z REANIMACJI UKŁADA TANGO
ZAMÓWIONE PRZEZ KICIĘ KOCIE
3 DNI WSTECZ W NASTROJU BALOWYM

CANTO

W mym półgrobie
Piszę Tobie
Zamówione tango.

Póki żyłem,
Nie zdążyłem,
Teraz za to mam go.

REFREN

Nie bój się nic
Bo życie nic nie znaczy;
Bo śmierć jak rydz
Zdrowa dla umieraczy.

<http://rcin.org.pl>

Już Hamlet—fryc
 Myślał, że przeinaczy,
 Nie wyszło
 mu nic a nic
 Z tym jego byc (tu zrobić w tańcu przegięcia)
 albo
 nie byc

Warszawa—Reanimacja 26 luty 1983
 oraz Reminiscencja Reanimacji

Kochane Panie Profesor Eumenidy!

Dzięki za telefon. Żal mi nie odbytej soboty 19 II. Tak już się szykowałem do czytań i śpiewań dwóch nowych Kić Koć.

Ja jestem 11-ty dzień na reanimacji czyli ożywianiu, no i powoli ożywiam się. Wczoraj, mimo że bez przerwy mnie oproszkowują nasennie, z powodu byle wpadłem w złość, cisnąłem się parę razy tak szybko na łóżku, że zaczęło jeździć. Przyleciała siostra.

— Czy co pana boli?

— Nie, tylko zimno.

To rozezłoszczenie się znakomicie poprawiło mi humor, spełniło potrzebę nieuświadomioną, cudownie mi się do rana spało i to po raz pierwszy ze snami od siebie, a nie wariacko-nieruchomymi, od których — już myślałem — że zdechnę.

Serce się leczy, blizna maleje. Słabe ciśnienie. Skłuty jestem igłami jak kiecka Kici Koci. Miałem w sobie drut. Żeby — w razie jak serce nagle stanie — podłączyć do kontaktu. Ileś dni temu pielęgniary, jako już niepotrzebny, wyciągają mi ten drut z ręki. Jā patrzę: on ciągnie się i ciągnie niczym w cyrku, pytam

— skąd on idzie?

— od serca

— a którądy?

— przez żyłę

a to była prawa ręka w łokciu — ten wylot.

Do kafelkowej u b i k a c j i jeżdżę od 4 dni. Pilnie po drodze oglądam, co się da. Ale siostra galopuje, mnie tylko miga i zakręca w oczach, więc dzielę sobie: za jednym razem wysilić oczy na to, za drugim na owo; z góry planuję — na co.

Choroba sercowa dobra. Nic paskudnego, nic obrzydliwego. Dotyczy

górnjej połowy tej nie upokarzającej (powołując się na rozmowę z p. profesor M. J. przez telefon o dolnej upokarzającej).

Aha! pierwsze trzy dni miałem niedobre, choć ułożyłem już pierwszej nocy w głowie TANGO DLA KICI KOCI, które ona sobie u mnie obstałowała na 3 dni przed moim zawałem. Na banie się nie było miejsca, bo jak się zniknie, to prędko, a jak zostanie na widoku — to o co chodzi? Nic złego nie czeka, pobolało, przestało. Jedna z najwybrańszych chorób. Trzeba się cieszyć, że ma się taką. Jedna wada, że to plagiat.

Za kilka dni pojedę pewno w wielki świat, przez korytarz-kolektor (łóżka po bokach, tłumy) do salki na kardiologii. Pokoje 3, 4-ludzkie. Byleby nie trafić na radiowca, ale ja wywalczę, żeby choć na pół ustąpił (wtyki w uszy mam, to też trochę znaczy). Zapraszam z góry do tego niezbadanego miejsca.

kłony

U

ściński

dla wszystkich

3 Eumenid

MIRON

Lekarze b. dobrzy, mili. Pielęgniary po części świetne. Pracują za salowe (tych brak). Jest salowy p. Darek, który dorabia sobie punkty na medycynę. Dostaje ponad 6 tysięcy, co go zdziwiło, myślał że mniej.

27 LUTY 1983

KICIA KOCIA

ODPISUJE POECIE NA REANIMACJĘ

DEDYKACJĘ

(OBEREK-MAZUREK)

Od zawału

Do zawału

Raz za prędko

Raz pomału.

Najważniejsze:

W te odstępę

Poupychać

Kręty-węty.

I tak człowiek
Będzie święty,
Kiedy zejdzie
Stąd.

[List 2]

Warszawa–Reanimacja, niedziela 27 luty 1983

Kochane Panie Trzy Profesor!

Nawieźli bab (co rzadkość) i jedna musiała zająć moje miejsce, monitorowo-widokowe dla gabloty strażniczej siostr. Mnie przesunęli na ogólnopodzielną salę z trzema boksami półotwartymi.

Wprawdzie nie miałem tam łóżka–sąsiada, ale te trzy boksy sumowały się w jedno bycie. Najgorsze, że diabelnie wiało od okna. Kiedy poprosiłem siostrę Malinę (najlepsza), żeby mi firanami przynajmniej ten ziąb złagodziła, odezwały się dwa chłopcy z boksu środkowego — a nam jest ciepło, całą noc spaliśmy przy otwartym oknie.

Zdenerwowałem się strasznie. Nic nie odrzekłem. Siostra Malina powiedziała

— panowie nie straszcie, pan jest w pierwszej linii.

Ale już kończyła całodzienny bieg po „erce” i poszła. Ja postanowiłem, że jak oni otworzą, to po podłodze przepelzną w cieplejszą gablotę.

Nie otworzyli okna. Ale ja się złościłem. Oglądałem odpychające jasne zielenie ścian i dwóch greckich kolumn, do tego tygrysi kaktus zielony. Pomyślałem, że tu za różnych czasów między Troją a Powst. Listop. mógł po grecku ktoś komuś łeb urznąć i może jeszcze zasadzić na tym ów kaktus (złowrogo wyglądający).

Zasnąłem. Wpadł mi w sen klasyczny dramat, kilka głosów na raz. Próbowałem to ułożyć w akcję, ale się rozkleiło i okazało się, że to te chłopcy zza boksów rajcują (2 godz. w nocy), a jeszcze dopowiada im co nieco z trzeciego boksów baba. Ten chłop głośniejszy chwalił się, że mieszka naprzeciw domu, gdzie zamordowali chłopaka. Potem wpadł w ferwor — syn ojcu głowę urznął, coś o 3 tysiące.

Baba podziwiała.

A ja się ucieszyłem. Niech się rzną cholery! I nasłuchiwałem o dalszych rżnięciach. Ale ich nagle wzdęło sapanie senne.

Moje skargi na zimno doszły do uszu zarządzających. Przetransportowali

mnie na stare miejsce. W międzyczasie jednak pogorszyło mi się serce. (To były dodatkowe skurcze serca.) Monitor pokazywał brzydkie wykresy. Zastrzyki, piguły, badania. Teraz leżę pod kroplówką.

8 wieczór

Serce odboleło. Oddech się wyrównał.

Pozdrawiam z machaniem ręką wolną od kroplówki.

Tylko głos mam od iluś dni schrypiałą bardzo po dziadowsku i gadam szeptem.

9 wieczór

Mojego 75-letniego sąsiada zaczęło okropnie serce boleć. Nitrogliceryna nie pomogła. Ja zacząłem się skupiać i powtarzać w myśli „niech tego człowieka przestanie serce boleć”.

Ale też nie pomogło. Pomógł dopiero zastrzyk.

Jednego z tych chłopów z boksu już przenieśli na oddział, a drugi (najgorszy) mieszka już w pokoju wylotowym i już chodzi.

4 rano (28 luty)

Przespałem się. Chyba ze mną nieźle, bo nic mnie nie boli i nie zajmują się mną (w złym sensie).

MIRON

[List 3]

W-wa, 28 luty poniedział 83 rok

No i Proszę Pań — jak to bywa: najazd zawałowych bab, mnie jako już lepszego przesunęli z łóżkiem do „gajówki”. „Gajówka” (ma topole tuż za oknami) jest „wyjściówką” na normalny oddział. Od razu mi zapowiedziano, że mogę trochę dreptać po tym pokoju.

Radość wielka. Tylko wiedziałem (do tego zwrot „jak to bywa”), że w gajówce przebywa ten, co mnie straszyl oknem na całą noc. W gajówce są dwa łóżka. Więc ja i on tylko. Okazał się od razu miły i uczynny. Wkręcił mi lampę nad głowę, dał pisma do czytania (ale ja nic nie czytam, nie chcę, nie idzie mi). Powiedział, że on się wyprowadza na własne żądanie do domu. Zostawił mi swój kompot i jabłka. Wkrótce przynieśli mu ubranie i na chodząco, wyglądająco oknem (miał siłę)

czekał na żonę. Chcieli go odwieźć karetką pogotowia, ale żona dzwoniła, że już jedzie taksówką do Międzyzylesia zamówić sobie na jutro miejsce do rodzenia i z Międzyzylesia wstąpi po męża.

I tak w południe zostałem sam na reanimacji rekreacyjnej.

Kolumna dorycka też tu jest, ale wyobraża samotność. Zamiast złego kaktusa — fotografie złotokapu i clematisu.

Drzwi w połowce otwarte do korytarza, widać kolorową zasłonę od mojego dawnego pokoju. Czasem zamiga tam w szparze baba leżąca po mnie.

1 marca

Spało się cudownie. Bez snów przykrych, prześladowczych. Nie pamiętam nawet, co mi się śniło — co za ulga!

Myję się już sam nad zlewem, bo tu jest. Chodzę rzadko i króciutko, bo nogi mi kołowacieją. Jem mało, bo się nie chce. Szanse na schudnięcie.

Przez pierwsze pięć dni nic nie jadłem (kilka łyżek zupy i łyżeczka sera na cały czas). Tylko piłem wodę, piłem wodę. Dobierałem jej smaki. Prosiłem o jak najzimniejszą. Nie wiedziałem, że żywienie się wodą może tak być wystarczające i rozmaite.

Tadzio Sobolewski wstępuje tu do mnie, donosi co trzeba.

Dla wyjaśnienia do reszty: mój nowy pokój (mój do czasu) ma prawdziwe ściany. No i okna, za którymi topole, brzozy, czarne, białe, piękne graficznie na szarym tle nieba i troszkę dalszych budyneczków. Wrony, gołębie, wróble.

Ściany nie dochodzą do samego końca, bo okna ciągną się wte i wewte dalej, tak że między kantem ściany a oknem jest szpara. Czyli — dwie szpary, przez te słycać pogwarki — z jednej strony z gabinetu zabiegowego (mój pierwszy postój), z drugiej strony głośniejsze rozmówki, narady, chichoty i szykowania sobie jedzeń: to gabinet lekarzy i siostr, z urządzeniami do podgrzewań, z talerzami, nie wiem czy z kanapą. Sprawdzę, bo już tam mam niejaki wstęp po otwieracz do butelek z gazowaną wodą; teraz jestem wybredniejszy, minęły zachwyty nad wodą z kranu. Dałem jednej siostrze, którą lubię, trochę kawy, i drugiej, sympatycznej, papierosy „Lordy”. Bardzo się z tego cieszą. Pisałem chyba, że Ludwik Hering przyniósł mi czekoladę kalwińską, tę prędko oddałem na ręce najsympatyczniejszej pielęgniarki.

Kiedy leżałem w poprzednim pokoju, miałem trzech kolejnych lep-

siejących sąsiadów. Pierwszy, 50 lat, gruby, z biustem jak dwa salcesony. Nie przeszkadzający! Mówił, że kocha tłuste jedzenia, wciąż skopywał koc, przebierał nogami, bo przyzwyczajony do pracy na chodząco. Budował kawiarnie, bary w NRF, we Francji, Belgii jako robotnik. Coś się zgadzało o pobyty tu, o zawale.

Ja do niego

— ja się nie bałem.

On przewalił się na bok w moją stronę

— a czego tu się bać?

Południe

Przywieźli mnie na łóżko obok inteligenta, podobieństwo do aktora Dmochowskiego (wiek też podobny). Przywieźli go z miasta, ale on był już tu leczony. Jest w niepomyślnym stanie, ma bóle i oddech krótki. Pełno koło niego sióstr, lekarzy. Krew też mu leniwie idzie do analiz, a trzeba dużo. Takie kłopoty były i ze mną. Kluli mnie nieraz w trzy miejsca! Miałem obrzęki na obu rękach w wielu miejscach, nawet w stopie. Do tego pełno sińców.

Umieścili go w „gajówce” (dla zdrowiejących) z przypadku. Po prostu wszystkie inne miejsca — pozajmowane.

Znajoma tutejsza pielęgniarka (z innego działu), siostra jednej z pokoju literatury współczesnej PIW-u, dogląda mnie. Dziś mi przyniosła ogórki kwaszone. Bardzo teraz lecę na kwaśne (na słodkie wcale).

Obiady tu podają pachnące, aż ślina leci. Co lepsze — w smaku nie zawodzą. Pyszne zupy — jarzyny nie wymiętoszone. Nic nie czuć kotłem, dzięki temu obiady zjadam całe, chyba że mięsa nie chcę.

Pan Darek, ten co sobie sprzątaniem dorabia punkty do dostania się na medycynę, opowiadał mi dziś zamiatając mokrą ścierką na szczocie, jak wczoraj tłoczył się za butami któryś raz i wreszcie dostał

— ale przynajmniej pasują?

— pasują.

Ukazał się nagle drugi młodzieniec salowy, zamiatał, podawał obiady. Stara salowa przychodzi tu tylko w wolne soboty. Chorych nie wozi na wózek do ubikacji

— ja tam nie umiem z wózkiem.

Była Kicia Kocia, wczoraj. Dostała tango już przedtem pocztą i przedyktowała owo Ludwikowi przez telefon: Ludwik teraz mnie odwiedził — czepiam się tanga, zakończenia, bo to nieprawdziwe, nieprawda, że

Hamletowi nie wyszło nic a nic, bo z być albo nie być wybrał być, i to mu wyszło.

Mnie jednak chodziło o większe co innego. Hamlet liczył się z honorami, przekazem, pamięcią, racją moralną

a w moim nastroju-ujęciu wszystkie te cnoty i nadzieje odpadają, nie są nic warte, bo wszystko jest nieważne, wszystko się rozsypuje, nie zostaje w końcu z nas nic, bez różnic żadnych.

Mój współlokator spokojny, łagodny, dali mu jeszcze zastrzyki, badali go machinami, przy jednym bolesnym zastrzyku jęczał. Oddech mu się nieco poprawił, choć kłuło przy wciąganiu powietrza (miałem to samo). Mówił półcicho do siebie:

— O Jezu Dobry, dlaczego ja tyle się męczę, od takiego długiego czasu. Jest upokorzony (niewymagający) długą chorobą. Teraz śpi.

Doszły do mnie wieści, że przyczyna choroby to ostatnie jakieś ćpania. Tymczasem w Ameryce i w Polsce po Ameryce los mi kategorycznie tego pożałował.

Jeszcze może ktoś przyjść do mnie z wiadomością, że przeciek w mieszkaniu. Dobrzy, potrzebni przyjaciele, ale nie zawsze są powściągliwi. Widok ładny o szarej godzinie. Jedno okienko daleko, naprzeciwko świeca, wigilijnie. W dole białe śniegi, czarne błota, szare mieszaniny.

Ściemniło się. Kiedy wejrzeć trochę w lewo, świecą dwoma rzędami nad sobą okna onkologii. To już mniej wigilijne.

8 wieczór

Obchód wieczorny, pojedynczy.

Pytanie do mojego sąsiada

— jak się pan czuje?

— nie najgorzej.

Więc przynajmniej tyle pocieszenia.

9 wieczór

Otwarcie przez brata (bo jest i taki) dwóch dla mnie gazowanych wód na noc. Jedną z nich korkuję woskowymi zagłuszaczami na uszy.

Snucie się rzadkie po pokoju wciąż słabiusieńkie, słabiusieńkie.

Próbuję czytać *Tajemnicę żółtego pokoju* starego Leroux. Te próby idą niemrawo od 2 tygodni, ale teraz ugryziem trochę większy kawałek. Kryminał dobry: las, zamek, ojciec, córka, słudzy, laboratorium, grota

św. Genowefy, dziadówka „Kłęcząca Matka”, a za nią chodzi Zwierzątko Boże, wielkie kocisko, wydające w nocy przeraźliwe wołania. Niedoduszenie córki, kradzież wynalazku, jęk Bożego Zwierzątka. Kto o co?

Kiedy byłem na starym miejscu, w szklanych boksach leżało dwóch gadaczy. Jeden architekt, ze 72 lata, wielki, siwe czuprynisko, w szlafroku księcia Tadżykistanu. Drugi mały w wiśniowej piżamie, jak się okazało, Wojewódzki Urolog. Mały mówił ciszej, rzadziej. Księżę Szlafrokowy mógł za to głośno opowiadać 10 godzin bez przerwy. Obaj — w dobrym już stanie. Księżę Szlafrokowy a to o swojej siostrze, jak chorowała na raka („zaczęło się od koraliczka”), a to o wyjazdach, kontrolach, budowach, sprawach społecznych — tu mu wtykał swoje, jak się dało, Urolog Wojewódzki. Wreszcie Szlafrokowy Księżę przeszedł na swoje życie osobiste całkiem. Żona zaczęła wyjeżdżać na dzień, dwa za Warszawę. Wiedział już, że go zdradza. Ale nic — trudno. Raz się zjawia w domu z kochankiem — dyrektorem. Atmosfera z początku napięta. Dyrektor prosi o przekazanie mu żony — wiem, że z dobrego konia spadam... tu trzeba mieć wykształcenie seksualne... wysokie wykształcenie...

Jakoś się napięcie rozładowało. Ugodzili się. Popili we troje. Pograli do rana w brydża. Rano poszli. Do hotelu. I tak zachodzili czasem do Księcia Szlafrokowego. Raz zmęczeni — dyrektor przyłożył się do kanapy. Ona obok przytuliła się zmęczona i tak zasnęła...

Tu Księżę zawiesza i kończy:

— I tak zasnęła i spała przytulona do niego, nie wiedząc, że on od kilku godzin był już martwy.

Kiedy indziej Księżę o parze młodych, zakochanych, podpisali taki papier, że kiedy skończą szkoły, pobiorą się i wyjadą. Przyszedł ten czas, a tu nagle on mówi, że stracił uczucie. Nie ożeni się z nią. A ona wtedy, żeby go przytrzymać, oznajmiła:

— Ja jemu kupiłam yacht, stoi gotowy w Kołobrzegu.

Pojechali, obejrzeni ze świadkami, yacht stał elegancki. Niedoszły mąż obejrzał tylko urządzenia, powiedział:

— Kupuję

i kupił, zapłacił 270 tysięcy, bo miał naskładane, i rozeszli się.

Podczas owego opowiadania Księcia Szlafrokowego i Urologa Wojewódzkiego przeprowadzali z boksów do „gajówki”, do tego pokoju,

w którym ja teraz mieszkam. Księżę Szlafrokowy, cały czas na głos, jadąc na fotelu, opowiadał. Ledwie ułożyli się na nowych łózkach, słyhać było Księcia Szlafrokowego dalej — tym razem szło chyba o jakieś pole bitwy.

— Ja tak leżałem odwrócony na jeden bok, on na drugi. Odzywam się do niego „pomyśl, ile jeszcze miast możesz zobaczyć, ile cię czeka” i tak odturlałem się w stronę od niego. On chwilę namyślił się i odturlał się w drugą stronę.

Po wprowadzce Księcia Szlafrokowego samotny Wojewódzki Urolog w wiśniowej piżamie chodził do sióstr, do telefonu obok, prznosił pudełka, kawki, ciastka. Siostry przelatowały od niego do swojego gabinetu i też klusem prznosiły szkatułki i ptifurki.

Potem byli tam krótko ci trzej z boksu, co mnie straszili oknem. Teraz zabrakło bawidamków (bawisiostrzyczek). Trochę zdechłych chłopów, reszta baby.

2 marca, środa

proszki były

mycie było

słanie łóżka było

EKG będzie

śniadanie będzie

wlecenie pierwszych lekarzy na nagłe

badanko będzie

wlecenie drugie będzie

obchód główny będzie.

Po czym — wolny czas.

Sąsiad czuje się dobrze.

Podczas mycia nad zlewem już się dziś mniej zmęczyłem. A podczas słania łóżek przez siostrzyczki wylazłem na korytarz trochę za daleko (bo nogi chciały iść) i za to dostałem od sióstr burę. Mam na myśli cichy wsobny korytarzyk „erki”. Bo do korytarza-kolektora to daleka droga.

Zapowiada się przeniesienie mnie na oddział. Więc koniec „gajówki”. Sielanki. Dostanę się między trzech czy ilu nowych chłopów.

11 rano — po obchodzie

Za godzinę, dwie przeprowadzka do 3-osobowego pokoju poreanimacyjnego, ta sama opieka lekarska, ale to już na pograniczu oddziału. Na cały dzień mam się już odłączać od monitora, na noc przyłączać. Naprzeciw będzie łazienka, do której mi wolno chodzić; wolno sobie troszkę pochodzić i usiąść.

Jak się okazuje: ten mój drugi zawał był na szczęście mały.

Ciekawe, czy nie natrafię na Szlafrokowego Księcia z Urologiem Wojewódzkim.

Bardzo dużo powodzenia życzymy sobie nawzajem

MIRON

Następny odcinek szpitalnej akcji nadejdzie.

[List 4]

Warszawa — 2 marca 1983 r.

Kochane Panie Eumenidy!

Nowe miejsce. Obco. Ja jestem chyba na ogół obcy. Dwa chłopcy podstarzałe, okno uchylone (ciut chłód) i ja.

Ściany jasnożółte (krem nijaki, a jednak w dwóch odmianach paciania).

Dobrze, że jestem z brzegu, i to koło zlewo-kranu i drzwi, bo w środku źle, koło okna słońce i powiew zbytni.

Więc nie trafiłem na Księcia Szlafrokowego. Trafiłem na Urologa Wojewódzkiego w zwykłej piżamie i szlafroku. Raźny, wysoki Siwak chodzi pręźnie w zieleninie szlafrokowej, pieje jak kogut do siostrzyczek. Co gorsze — ma radio. Puszczą niegłośno, ale zawsze to zaraza. Dobrze, że przez 2 tygodnie tu przywykłem do cichych odgłosów radiowych i gadaninek, reszta — zatycka na uszy.

Korytarz-kolektor tu się zaczyna. Za drzwiami. Okno wychodzi na czarne wielkomiotłe drzewa. One bliziutko. Dalej budyneczki.

Naprzeciw łóżek ściana ze sporą telewizją naturalną, czyli gabinetem siostr za szybą z przezroczystą firanką.

W tej telewizji gabinetu siostr miga teatr główek w czepkach.

Po małej drzemce wylałem na korytarz-kolektor. Najpierw na wprost do ubikacji. Można uklęknąć na łazienkowej (trupiej?) leżance i wyglądać na główny parady zjazd szpitala. Ulica Grenadierów. Po drugiej stronie ulicy przystanek autobusowy z ludźmi. Tło — niedużenie domki.

Na razie lufcik dosyć przysparowali, radio umilkło. Do Urologa Wojewódzkiego przysłała żona, we troje gadają z Rażnym Siwakiem. Te ślamazarne semiologie nie przeszkadzają mi, nie angażują semantycznie.

Lampka nad głową czynna, to ważne.

Przespacerowałem się trochę kolektorem, mijałem widoki czwórkowych pokojów chłopskich, babskich, z wielu gośćmi, obsiedziane łóżka. Na korytarzu—kolektorze mija się co dwa kroki to na lewo, to na prawo łóżko z kimś na łóżku głównym plus kimś na łóżku siedzącym. Między tym a tym a wszystkim przełazą, mijają się pary, chory—gość, chora—gość. Spotkałem pierwszego sąsiada z pokoju najdłuższego pobytu, tego z biustami w salcesonach, co orzekł

— a czego tu się bać?

Na razie mój trójkowy pokój wygląda na najpomyślniejszy.

Oho! W tym momencie rodzina przyniosła Rażnemu Siwakowi telewizorek. Co to będzie? co to będzie? O, już jest, gada. Nawet czasem spojrzenie na telewizorek z mojego łóżka z ukosa marne, skrócone i małe, skrzywiłyby się oczy w lewo. Chodzi o głośność. W razie potrzeby zwrócę uwagę.

Zaczął się mecz, obetkałem uszy głośzydłami, w połowie pomaga. Zauważono chyba moje zatyki uszu, bo Wojew. Urolog zwrócił się do mnie

— panu, zdaje się, przeszkadza głośniej.

Przytaknąłem.

Teraz po powrocie z kolektora Rażnego Siwaka chyba zastosują przyciszenie.

Scena nowa. Wrócił Rażny Siwak. Rodzina poszła. Rażny Siwak i Urolog Wojew. siadają przed meczem.

Scena jeszcze nowsza. Pukanie. Wkracza w całe drzwi Książę Szlafrokowy. Dosiada się jako trzeci do meczu. Wszystko szczęśliwie ciągnie się cichawo, meczysta z aparatu gada nie za głośno swoje, trzej widzowie gadają swoje. Urolog Wojew. wyszedł.

Scena jeszcze jeszcze nowsza. Książę Szlafrokowy wyszedł, wszedł niski brodacz siwy na brodzie a mniej siwy na głowie, a może odwrotnie. Oglądanie, gadanie. O dziewczynie, która się truła, miała na ręce wypisane „kocham”, nieprzytomna, zakładał jej cewkę do samosiusiania pacjent—doktor Urolog Wojewódzki. Już samobójczynię wywieźli. Zdaje się, że przywieźli następną.

Posługuje tu jako jeszcze jeden salowy bardzo urodziwy blondyn. Drugi gęstojasnowłosy ukazał się jako lekarz na obchodzie. Jeszcze przedtem inny urodziwy wysoki lekarz latał po korytarzu, ogłaszał

— urodził mi się syn!

— urodził mi się syn!

Pielęgniarki tu w normalnym wieku. To na reanimacji same młode, żeby miały siłę. Ciągłe czuję się w obecnym pokoju obcy. Telewizor jednak utrudnia oswojenie. Ale ja zawsze jestem obcy. Chłopy odwiedzają się, dobrze się z sobą czują, ja — nie bardzo. Nie mam co z nimi gadać. Nie chce mi się ich. W młodości byłem przystosowywalniejszy. Czym starszy — tym mniej.

Najważniejsze — przeżyć pierwszą noc na nowym miejscu. Rano jest jak po przebytych gwałcie, ale już ulga. Kiedy moi dwaj lewi pójdą spać, zostanie jedynie wielka, żywa, niehałaśliwa telewizja siostr w oknie ściennym. Odbiją się o ściany światelka z ulicy. Przeżyję spokój.

Wieczorem — teraz — grodzę się czytaniem *Tajemnicy żółtego pokoju*. Wmawiam w siebie, że stać mnie na wdanie się w czytanie na tle niesłuchania telewizji.

Zapraszam — póki co — Panie do mnie na Grenadierów
Kardiologia

1 piętro

pokój 1

Przyjęcia gości

wtorek, czwartek 16 godz. — 17 godz.

niedziela 15 godz. — 17 godz.

W inne dni też tu się wtłaczają. Uprzedzam, że w niedzielę 13 marca będzie Jadwiga. Tak to rzadko tu dojeżdża. Zresztą jest uczynna.

To tyle z techniki.

Panią Marynę też zapraszam, choć ona we Francji. Ale ja raz z Francji dostałem zaproszenie na wystawę Czapskiego, choć wiadomo, że nie pojedą nagle. To podobno taka forma elegancji.

3 marca

W nocy po jabłku bóle brzucha. Leki. Znow nic nie jem. Przed szóstą rano sąsiedzi zaczęli życie. O szóstej puścili radio. Poprosiłem o ciszej. Teraz idzie film przez telewizję (tu w pokoju).

Jestem znow osłabiony. W ustępie tylko dwie kabiny bez osobnych siusialników. Tłok, kolejki. Cztery zlewo-krany, do których też się tłoczą

z goleniem, wodą do picia. Chyba mój pokój jest wyjątkiem krano-wo-zlewowym.

Moi sąsiedzi mają dużo siły. To dobrze, bo więcej wylażą na kolektor i do znajomych w innych pokojach. Ale porcje tele i radia to mi dają. Byłem i ja na przesnucie się na zdechło przez kolektor. Mają mi przysłać magister od badania mojego chodzenia. Tak blisko gdzieś to mogę sam. Bolenia brzucha, bo to cały brzuch boli, są od niektórych leków, jak orzekła lekarka. Wystarczy małe przedawkowanie — i już boli. Obiecała to regulować. Podobna do Chinki.

Południe. Sąsiedzi wyszli. Cisza.

Wchodzi stara salowa z kubłem, ścierką, szczotką. Obciera framugi i szkła, śpiewa trelowato — ale na „m m m”

— m m m m co cię boli

m m i i m m i mm m mm mm

ściera dalsze rzeczy

— m m mm ja cię czekam

y my m y y mm

Bierze szczotę z mokrą ścierą, zaczyna gwizdać, potem wraca do „m m m”, ale tekstu nic nie przybywa.

Pozdrawiam

Wysławiam

Brzuch przebolewa.

MIRON

Zbliża się z głębi kolektora obiad ze szczękiem na kółkach. Jednak trochę zjadłem, jak radziła lekarka.

Do Wojewódzkiego Urologa przychodzi żona z jedzeniem i żeby mu zmieniać szlafroki. Dziś przyjdą do niego liczne siostrzenice (z plackami). Od rana — poza tym — do wieczora pojawiają się u niego figury, docenty, całują go, a on ich szybko zabiera pod palmę.

Nie wiem, gdzie ta palma.

M.

[List 5]

Warszawa Poreanimacyjna 5 marca 1983 r.

Kochane Panie Eumenidy! Zaraz po wyjściu najmłodszej z Was stąd napomknąłem zostałem jeszcze Przemysławowi Brykalskiemu, że obok mnie przebywa Wojewódzki Urolog, który przystąpił jako chirurg do

stołu operacyjnego i w tej chwili poczuł serce. Przewieźli go tu. Do zawału nie doszło. Na to Przemek, że słyszał o tym, bo to kolega jego kolegi, którego i ja znam i który był na moim hucznym (tyle Przemek naprosił) wieczorze autorsko-amerykańskim u tegoż Przemka w pracowni na 3 dni przed moim zawałem. W dodatku Przemek doświadczył jakiejś chorobowo-telefonicznej grzeczności od Urologa Wojew. Doszło do konfrontacji, grożącej zawiązkiem towarzyskim. Przemek wyszedł. Weszła kolacja. I na jej pobrzęku stanął w drzwiach biały fartuch, mający czarne przedłużenie do ziemi.

(Żałuję soboty z procesami zwierząt, ale to się pewnie da wrócić.)

Po podobieństwie do mojego Nepomucena w kapliczce-kuchni zorientowałem się, że to ksiądz. Do mnie:

— pan jeszcze leży, pan cierpiący

ja

— nie, już trochę chodzę

ale już go zagadali Urolog Wojewódzki i Raźny Siwak, dobiegający na siedząco przy stoliku razem kolacji (z telewizorem usadzonym na tę porę na stołku). Ksiądz się przysiadł w poblize. Chcieli mu dać kawy

— nie, nie.

Urolog Wojew. zasypywał księdza nazwiskami kapelanów, księży. Tak że ksiądz tłumaczył się, że mało zna, bo on ze Skaryszewskiej.

Wpadli w ferwor na temat Rzymu. Bo i ksiądz, i Urolog tam byli. Obgadywali Włochów. Ksiądz o Lourdes, że jak tam zapielgrzymował, to było poważnie, dostojnie; nagle zjechali Włosi — od razu jarmark. W tej chwili pudełko telewizyjne już na stole. Pokazują nowo narodzone kobry we Wrocławiu i papieża w Środkowej Ameryce.

Wpuściłem do kubka z wodą szklaną kulkę od Eumenidy najmłodszej.

Kulka ładnie, z cichym psyko-szczękiem krąży po dnie kubka. Trzeba by się nauczyć z tego wróżyć.

Na korytarzu dziś mało leży ludzi. Starą panią, której wczoraj podawałem nocnik, przenieśli do pokoju. Naprzeciw niej leżała 3 dni temu nieruchoma krótkowłosa-czarno dziewczyna, przyczepiona do kropłowy. Już hoża, już drepcze koło łóżka, już w jej nogach leży nowa koleżanka, która z nadmiaru energii roznosi jedzenie, już nad nimi stoi młodzian-piżamowiec. Po prostu ośrodek wesołości. Między nimi przetoczył się Książę Szlafrokowy, a za nim brodac z siwymi włosami (czy odwrotnie). Teraz wyjdę do skrzyżowania z kanapą. W tamtym

miejscu mieszka astmatyk z Miedzeszyna, który mi wczoraj opowiadał o swojej chorobie.

Wyszedłem w kolektor. Nagła martwota. Czarna ostrzyżona gdzieś podreptała. Usiadłem w bocznej nawie przy skrzyżowaniu samotnie na kanapie. Gdzieś coś grało *Ave Maryja*. Po przestoju wyłonił się brzuch w piżamie astmatyka z Miedzeszyna. Z drugiej strony nadbiegła ze skaczącymi włosami Energiczna Spontaniczna Roznosicielka Posiłków, porwała do tańca astmatyka, niewiele z tego wyszło, poleciała, wróciła wkrótce z dwoma piżamami na amantach. Ci romantycznie ją odeszli na schody. Pofrunęła nie zrażona w trzecią stronę.

Teraz leżę, tele idzie, sąsiedzi patrzą. O 9-tej zasną, bo przecież wstają, kiedy jeszcze okno wstawione w noc.

Kolektor–korytarz w żółtym tonie, od podłogi szafranowy. Lubię patrzeć w jego ciąg. Na końcu ciągu okno, z tego okna widać ukośny ruch Alei Waszyngtona. Nasze okno wychodzi na uliczkę Świętosławską, naprzeciw małe domy.

Widok z wychodka na Grenadierów z ludźmi pod przystankiem przypomniał mi pierwsze fruwanie. Miałem kilka lat. Zima. Ulica Chłodna. Przystanek z ludźmi. Ja tam też. Nagle unosi mnie siła w powietrze, chcę czepiać się ludzi, siła fruująca ukosem w górę mnie od nich oddziera, opatulony szalikami chcę krzyknąć, nie mogę. Przebudzenie.

W 1942–44 r. mieszkałem na tejże Chłodnej, blisko snu i jawy getta. Jakiegoś dnia w kuchni przy zlewie pytam ni to mamy, ni siebie — kiedy wojna się skończy?

i odpowiadam sobie

— w maju

— a kiedy będzie święto narodowe?

po chwili zgadywanki–namysłu

— w lipcu.

20 lat temu z Adamem (wkrótce samobójcą) poszedłem na film do Sali Kongresowej. Tam się oddawało palta do szatni. Dostałem numerek, spojrzałem:

1983.

Nic nie mówiąc, pomyślałem

— w tym roku mogę umrzeć, to niby daleko, może szkoda, ale...

W lutym obecnego nam 1983 roku zacząłem o tym mówić, coś mnie zaniepokoiło.

Może przesada — zawał jako przymiarka. Ale coś w tym jest. Zresztą

rok ma daleko do końca. Z pewnych przywidzeń i snów czuję dla siebie niebezpieczeństwo końca maja, zwłaszcza niedzieli.

Deszczukuje, puka w okno, robi dwa razy tyle, co jest; bo to co jest idzie w górę, a to co dorobione na waleta, idzie do góry nogami w dół.

Moje łóżko ma cztery kółka rytualne, więc przejeżdża się co i raz samo. Ja staram się zagnać łóżko na miejsce. Niby wraca, ale jedną stroną kancieje od samoistnego odsuwu materaca, drugą stroną zbiera materac w grzyb-okap.

Szafka kulawa od siebie czy od podłogi. Podkładam papier w czwórkę pod jedną nóżkę — stateczniej. Każde zamiatanie salowej kasuje podkładkę. Robię nową. Podobno u Ludwika XIV czy XV też stoły, szafki nie chciały równo stać. Opracowywano równowagę nóg, równość podłogi, ale król podziwiał równostojność mebli, jeśli u kogo ją spotkał. Pod łóżkiem trzymam brązową torbę z niepotrzebnym tu magnetofonem i gracikami, z papierosami z Pewexu do manipulacji. Taże torba jeździła ze mną po Egipcie, „Batorym” opływała Europę, latała ze mną po Ameryce. I towarzyszyła mi podczas latań przedzawałowych i zamieszania zawałowego w kasie PIW-u, w pogotowiu, wylądowała na reanimacji.

Głowiński radzi mi napisać „Pochwałę torby”. Temat trudny.

Niedziela, 6 marca

Po okładzie na rękę (skutki igły) wyrzuciłem bandaż z watą i zgłosiłem się do pielęgniary o nowy okład. Nakrzyrzała na mnie, że bandaż wyrzuciłem

— co za rozrzutność.

Speszony przelazłem z kolektora przez ciche przedsiionki reanimacyjne do hallu schodowego. Pooglądałem widoki. Wierzbę za oknem, wodnisty marzec, kawałek tramwaju. I widoki w środku. Łysiejący fikus, łysiejącą chińską różę, podeschlą palmę i drugą nie podeschlą; to ta, o której słyszałem, mała, żeby pod nią usiąść, trzeba by klapnąć na podłogę. Obszedłem te okazy dookoła wylotu schodów. W połowie dostrzegła mnie zła już w ruchu portierko-szatniarka, wyszła na środek posadzki i mi nawymyślała z dołu do góry

— co to za chodzenie tutaj?

— już wracam — odpowiedziałem.

Więc czy pod palmą w ogóle nie wolno chodzić? czy w godzinach wizyt? czy niektórym? czy po kryjomu? Myślę, że ostatni sposób najpewniejszy.

Unikać widoku portierki na siebie. W tej chwili znów mnie podłączyli pod monitor.

Kazania niedzielnego, chcąc nie chcąc, wysłuchałem przez radio tudzież czegoś z telewizji.

Długie pozdrowienia i zaproszenia od strony Grochowa

MIRON

Warszawa 6 m 1983 szpital

ZBIÓRCZOŚĆ

w uchylach drzwi ci i ci
niewiadomi podobni

szpitalny korytarz wzbiera
wszystkim, co się w siebie wзира
wdziera

łóżka stoją tu też
raz pełniejsze, raz pustsze

niedziela południe bździ
korytarz na węż widzi
bada

na jego łózkach przysiąda
to życie, to śmierć
to ich ćwierć

Szpital Grochów, 6 marca 1983 r.

ODMIANY ŁAPANIA TCHU

1.

biały sufit z balonami
z oddechami
pod nim leżący
to łapiący

<http://rcin.org.pl>

2. **biały sufit**
w dole na płask człowiek

pod sufitem bania z powietrzem
w człowieku poducha tchu flaczaje

nagle wzbiera samym wydechem

pod sufit pęka
cała męka

3. **tchawica**
do czasu
unosi jak gołębicą

zagrucha
przewraca

dech się skraca
odfruć

powalonego duch rozpruwa

sam ze śmiechu rzezi

że tak im dobrze było

na uwięzi

obu

zmyślonym

4. **raz**
początkiem
puszczony
teraz

końcem
duszony
słyszysz się:
e-he...
e-he...
e-he...
serce jest złe

5. BIORCZOŚĆ

ostateczności
za pospolite ostatecznie
nie poważne
jakby niebyłe
żadne

[List 6]

7 marca, Warszawa–Poreanimacja 1983, tenże Grochów

Drogi Panie Profesor! Rano mnie od monitora odłączyli. Coś tam z za szybkim rytmem serca. To moja specjalność i przy pierwszym zawale. Rano miałem nakazaną krew do analizy. Trafiłem na tę, która narzeczyła za marnotrawstwo bandaża. Ucieszyłem się. Pomyślałem, że taka pyskata i w średnim wieku, to świetnie operuje igłą. Tak było. Wpadłem w humor. Ona też.

— Tyle pan ma sińców... to efekty, jak to się mówi, uboczne. W nocy i rano hula wiatr od Świętosławskiej. Okna brzęczą, nieszczelne. Wiatr zdążył przeziębic Raźnego Siwaka leżącego przy oknie. Po nim zaczął kichać Wojewódzki Urolog. Wreszcie doszło kichnięcie do mnie. Jedno, drugie. Ale się bronię.

Zaraz przyjdzie na obchód nasza lekarka, którą zrazu na „erce” wzięłem za Chinę. Rysy. Warkocz. Cera. Oczy. Niechący czytający dowiedziałem się, że Mandżurowie w połowie XVII wieku zajmując Chiny i obsadzając swą dynastię (Cin) przejęli od Chińczyków kulturę, ale narzucili im noszenie swoich strojów i warkoczy, które okazują się tradycją wcale nie chińską, a mandzurską. Ostatni zdetronizowany cesarz zdążył ściąć warkocz.

Raźny Siwak puszcza dużo gadań i muzyczek. Skoro tylko trafi się muzyka poważna, odruchowo wyłącza.

Była nasza Chinka. Powiedziała, że ją martwi mój smutnawy spokój. Ja na to

— nie jest mi smutno

— pan zawsze taki spokojny?

— tak i jeżeli to jest główne pani zmartwienie o mnie, to dobrze.

Oczywiście nie zawsze jestem spokojny, ale co jej miałem mówić?

Wyjaśniła mi, co z monitorem. Chodziło o sprawdzenie nieregularności uderzeń serca, jak są częste? Okazało się, że nieczęste, więc nie jest tak źle. Czasem jeszcze to posprawdzają. To mój drugi zawał. Muszą mnie tu dobrze mieć na oku.

Biedna Chinka była po wykładach, zmęczona. Urolog Wojewódzki bardzo podniecony jutrzejszym opuszczeniem szpitala zagadywał ją gęsto. Ona się przyznała, że na stojąco zasypia.

Po obchodzie weszła salowa, nie ta śpiewająca, a druga, która mówi, że jest salową, ale honor ma. Obsłizguje podłogę mokrą ścierką, opowiada, moi sąsiedzi radzi mówią swoje. Coś o papierosach. — Pan pali? — ona pyta Raźnego Siwaka — to niech pan się nie przyznaje. Mnie chcieli wysłać do sanatorium, pytają „pani pali?”, „palę”, „to pani sanatorium nie dostanie”.

Nareszcie wszyscy wyszli. Spokój.

Zgłosiła się nowa magister od gimnastyki (tamta na urlopie). Ale ponieważ mieszkam w mieszkaniu, na razie ćwiczeń nie będzie. Po korytarzu też mam nie spacerować, oprócz przymusówek.

Na obiad biały barszcz, ziemniaki, gołąbek, sos pieczarkowy. Rzuciłem się na to. Właśnie o te smaki chodzi. Słodkiego teraz nie lubię.

Raźnemu Siwakowi zepsuł się telewizor. Przesadzają go do posiłków ze stolika na krzesło, potem znów na stół, ale jak martwy totem!

Radio się nie popsulo. Nic a nic. Wichura. Słońce. Pohukiwanie drzew. Gibią się, płaczą własną golizną. I na ścianie puszczają film z tego od razu.

Tuż nad tym oknem akwarium teatru: w oknie z firanką przesuwające się czepki, włosy i niecałe twarze pielęgniarek. Dla ucha dwu, trzy i czterogłosowe rodzaje motetów służbowych (z zabarwieniem osobistym).

Z korytarza stadne szczekanie talerzy, co jedno trochę ustana, to drugie pobudzają i szczek się rozindycza.

Nad wieczorem padłem w znużenie z melancholijką. Serce mam

jednak zmęczone. Kiedy w końcu Rażny Siwak włączył telewizor — o dziwo! — nie zepsuty, wydał mi się przynajmniej na razie rozrywką. Ale na teleekranie dwaj panowie rozprawiają o nerkach. A ja mam dosyć organów wewnętrznych! Jako ciekawostek. Wreszcie zmiana: dziennik, to już lepsze.

Nie, nie! już po godzinie nie chcę telewizorka!

Godz. 10 wiecz. Przyszedł mnie zbadać lekarz dyżurny. Przy okazji skarżył się do Wojewódzkiego Urologa na kłopot z pacjentką, coś z nerkami. Urolog dawał rady, wreszcie obaj poszli oglądać zdjęcia rentgenologiczne. I tak to Urolog na 12 godzin przed opuszczeniem szpitala jeszcze raz się przydał.

8 marca!

Rano słabocho mnie oplątała z melancholią, a nawet splątała.

Południe. Lekarka Chinka pozwoliła według własnego rozsądku i zmęczenia korytarzować. Zostawiła gdzieś wczoraj aparat do mierzenia ciśnienia i coś z papierów. Nie dało się nigdzie odnaleźć.

Był jeszcze jeden obchód do mnie. Kto jak kto, ale lekarze są tu uroczy. Jakoś mnie pocieszyli, potłumaczyli. Przejechałem się piętro niżej wózkiem do rentgena, jedno zdjęcie zwykle, jedno z trzymaniem papki w gębie bokiem.

Urolog Wojewódzki wyszedł stąd. Właśnie salowa, trzecia, prześcielała łóżko; ta śpiewa tak

„Kochany, mój miły
tak nie lubię tych twoich podróży”

i o poduszkach

„układać, układać”

bierze szczotkę ze ścierką

„Kochany, mój miły

tak nie lubię tych twoich podróży”.

Jest drobniutka, podstarzała, w pewnej chwili

— co tam za hałas na korytarzu?

Rażny Siwak

— rozdają prezenty

— e

potem dodała

— wczoraj nam rozdali po dwie pary rajstop, jedne nasze, jedne niemieckie

„Kochany, mój miły
tak nie lubię tych twoich podróży”.

Raźny Siwak układa się na łóżko, a ono wyskrzypuje kawałek mazurka. O, teraz się poprawił, przełożył, i zaskrzypiało z pół zwrotki wyraźnej melodii ludowej.

Ja wyciągając nogi zahaczam z klapaniem o moją pół-cmentarną tabliczkę (dzieje choroby).

Pozdrawiam. Czekam

Miron

[List 7]

Warszawa—Poreanimacja 9 marca 1983

KOCHANE PANIE EUMENIDY!

Dziś łóżko po Urologu Wojewódzkim było puste. Zabrakło też radia, które okazało się Urologa, nie Siwaka. Spokój duży. Telewizja rusza później. Ale już Raźny Siwak latał po automatach telefonicznych na schodach i chciał alarmować rodzinę o radio, skoro on tu — jak dziś zapadło — jeszcze ma być i w przyszłym tygodniu. Automaty nie chciały łączyć. Ale on zadzwonił z dyżurki. Tak że radio będzie. Ścierkował dziś podłogę młody, wysoki i silny salowy. Mówił:

— Nareszcie jutro mam wolne. Ja to się tu nudzę, bo co ja z tymi babami mam opowiadać? One tylko o ciuchach. W zeszłym roku miałem tu kolegę.

— A co pan dostał — pyta Raźny Siwak — na Święto Kobiet?

— Co ja dostałem? Nic. Mnie się tylko dostało po kieszeni. Jak było nasz dwóch, to wychodziło po 450 złotych na goździki, a jak ja jestem sam tu teraz król, to wydałem półtora tysiąca. Bo tu koleżankom. A zawieźć babci dwa goździki. Potem jednej bratowej do Miedzeszyna. Drugiej do Radości.

Raźny Siwak:

— Bo Darek z „erki” to się nie nadaje.

Salowy:

— Nie.

— Teraz tam jest i drugi.

— Ten drugi jeszcze gorszy ciapciak.

Parapsycholodzy telepaci jadą badać szóstym zmysłem Trójkąt Bermudzki. W tym kilku Polaków.

Radio już jest. Gra w miarę pół-cicho. I tak mam dużo cierpliwości, nie wiem skąd.

Wedle porozumienia z lekarką byłem dziś raz na spacerze całokorytarzowym z odsiadkami po drodze i drugi raz wieczorem pod palmą.

Brak mi wigoru, tego w środku też. Czytam coś. Uczytam dwie strony. W krowim tempie. Z krowim zainteresowaniem. Pół-zasypiam. Patrzę na ścianę. Myślę o ogórku kwaszonym. Nagle mi się coś przyśni i zaraz przebudzi mnie błysk otwieranych drzwi. Biorę książkę do ręki. Czytam. Znowu czuję w sobie krowę. Zwalniam się, zwalniam — do zawieszenia w niewiadomym.

10 marca

Lepiej się czuję. Lekarka wpadła z dobrą wiadomością.

— Bardzo ładnie wypadła na zdjęciu sylwetka serca, to bardzo pocieszające.

Na korytarzu często spotykam starego pana Edwarda, który ze mną 2 dni leżał na „erce”. Jego żona unieruchomiona w domu. Zajmują się nią i nim sąsiadki. Ta żona ma iść na operację. A p. Edward za tydzień pojedzie na Spartańską, tam mu wszyją w serce rozruszniki. Ma jeszcze chwilami w mowie resztki skutków lekkiego wylewu, który go nagle dopadł przy telewizorze. Ten drugi z „erki”, gruby, „a czego tu się bać”, chwali się, że już w przyszłym tygodniu wyjdzie.

Po obiedzie przywieźli na środkowe łóżko po Wojewódzkim Urologu pana, z którym leżałem 2 dni na gajówce. To dobrze, bo on jest spokojny. Teraz Raźny Siwak ma z kim pogadać. Spokojny pan w październiku leżał tu i przeszedł śmierć kliniczną, przywrócili go do życia elektrostrząsami. Pytałem, co czuł. Nic. Traci się świadomość i tyle.

10 wiecz.

Wyszedłem na korytarz. Usiadłem w bocznej nawie na ławce, ale słysząc od iluś godzin jęki starej kobiety z pewnego pokoju. „O Jeeezu”. Pomyślałem, że nic tu nie poradzę, skoro lekarze nie mogą. Próbowałem jakoś wysilić się (czarodziejstwo?), ale mam na to jeszcze za słabe serce. Minął mnie młody lekarz dyżurny. Powiedział, że też nie może słyszeć tych jęków. Dali jej jeden zastrzyk. Nie pomógł. Dali drugi. Pytam:

— Co jej jest?

— Nie wiemy, nie można się z nią porozumieć zupełnie, trzeba chyba sprowadzić psychiatrę.

11 marca

Lekarce Chince odnalazł się aparat do mierzenia ciśnienia. Pytała mnie rano teraz o niezbyt dobry humor. Ja jej na to, że rano zawsze tak. Ona skwapliwie przytaknęła.

— Ja też nie cierpię rannej pory. Najchętniej zaczynałabym pracę tak o szóstej wieczorem.

Orzekła, że prostują się u mnie komplikacje i niedługo może być mowa o ewentualnym terminie wyjścia.

Rano Rażny Siwak i sąsiad Spokojny pogadali sobie nieźle, zadowoleni, że mają z kim. U ludzi istnieje na ogół ogromna potrzeba mówienia. Puścili (dosyć cicho) telewizor, ale że było to o miłości staropolskiej, ilustrowane portretami, to zamknęli.

Wiatr znowu dobijał się do okien, całą noc. W pokoju chłodnawo. Ale ja już do tego przywykłem.

Byłem na korytarzu. Tamta wciąż jęczy, nie wiadomo, czy to fizyczne czy psychiczne. Polazłem do hallu z palmą, ale przeciągi jak na placu otwartym (a to plac zamknięty, ze schodami w dół). Balkon z drzwiami na oścież. Uciekłem. Korytarz znów zapełniony łózkami z chorymi. Przeszkodą do spacerów jest spotykanie natychmiast pana Edwarda albo mijanie mojego sąsiada w zielonym szlafroku, Rażnego Siwaka. Wypiszą go we wtorek i tak go ponosi.

Odwiedziny pani profesor Eumenidy bardzo mi pomogły, bo poczułem się o wiele zdrowszy.

Przychodzi tu na noc pielęgniarz, szybki, gadatliwy. Spokojny mówi o nim do Rażnego Siwaka:

— To taki Moniuś, raz mówił „ja mam cienkie igły zagraniczne, tylko u mnie cienkie igły”, jak zrobił jednemu zastrzyk, to tamten skoczył. To Moniuś.

Wyszedłem na korytarz. Usiadłem w bocznej nawie na kanapie. Przyszedł wysoki salowy. Mieszka w Falenicy. Ma gołębnik. Na dolnej kondygnacji matka trzyma kury, ojciec króle, na wyższej on ma swoich 40 gołębi. Nie traci na nich, bo za tyle, co im kupuje jeść, to sprzedaje niektóre. Prócz tego taka kombinacja: wypuszcza swoje gołębie w niebo, wtedy te gołębie odwiedzają gołębie jednego chłopca i część tamtych leci dalej. Jeden albo dwa siadają w gołębniku z gołębiami salowego. Za każdego salowy musi dostać od tamtego gołębiarza wykup.

Astmatyk z Miedzeszyna gawędzi z dwiema paniami, mieszkającymi jedna za drugą w korytarzu.

Spytałem o jęczącą. Dawno uspokojona, śpi. To coś neurologicznego. U przeciwnego końca korytarza z oknem na Al. Waszyngtona zaczyna się korytarz w prawo — wzdłuż okien. Położyłem nim. Korytarz skręca pod prostym kątem w lewo i okazuje się neurologią. Ma swoje schody. Wchodzi się w ul. obcych piżamowców.

12 marca

Poszedłem na spacer zakrętami korytarzów na neurologię. Z krańcowego okna widać stamtąd pojazdy jadące w poprzek następną wielką ulicą za Al. Waszyngtona. To Grochowska.

Dziś od rana puszczają nie za cicho to radio, to telewizję. Do tego wietrzą niekrótka. Na zmianę zatykam i odtykam uszy. Poszedłem posiedzieć i pospacerować do hallu. Tam wszystkie przeciągi skasowane, kaloryfery gorące. I nikogo. Wygrzałem się i nałykałem, ile mogłem, ciszy i luzu.

Wieczorem. Idzie idiotyczna komedia polska przez tele. Na korytarzu jęki z kilku stron.

Z moimi sąsiadami nie gadam. Tyle co kilka na dobę odezwań się technicznych. Nie chce mi się zupełnie z nimi gadać. Oni już do tego przywykli.

Łykam ileś na dobę pastylek naparstnicy. To ta, która kwitła wysoko ogromnymi głębokimi kielichami w ogrodzie Kici Koci. Różne kolory. Osy tam włożyły, słońce świeciło. Deszcze padały. A naparstnice kwitły i kwitły.

Przedawkowanie wywołuje ból brzucha i mdłości. Już mnie to spotkało na początku. Teraz lekarka wyważa mi codziennie proporcje wedle objawów. Dziś mój brzuch trochę odczuwa ich zjadliwą ratowniczość.

Niedziela 13 marca

Czekam na gości, co przy moim nieużywaniu mowy w tutejszym pokoju zapowiada rozrywkę. A gości jak nie ma, tak nie ma. Koło moich sąsiadów siedzą ich goście. Korytarz roi się od gości. Dostawili łózka. Przy każdej dostawce goście. Przy jednej kilkoro, a ona jęczy. Bo to same kobiety na korytarzu leżą. W bocznej nawie przy jednym chodzącym tzn. siedzącym szlafrokowcu z ośmioma gośćmi w różnym wieku w różnych pozach, aż do kucek.

Słońce już mi wchodzi na łóżko — czas odwiedzin. Pamięta Pani (Pani Misiu), jak Pani w słońcu koło mojego łózka siedziała.

Goście jednak byli.

Doniesiono mi (niestety) z miasta, że zalecane jest czytanie mojego *Zawału* jako terapii.

Moi sąsiedzi najedli się. Oglądają konkurs na lodzie, przewracają się z boku na bok i dogadują:

— O... wszystkiego nie pokażą... schyliła się... zdejmy spódnicę... teraz to możesz wjechać na barierę...

Weszła pielęgniarka.

— Czy może tu przyjść taki dziadek na telewizję?

Raźny Siwak:

— Ależ oczywiście.

Dziadek już siedzi między łózkami Siwaka i Spokojnego, okryty kocem przez pielęgniarkę komentuje:

— Przedtem to ruskie, ruskie, a teraz Anglicy.

Zaczęła się *Pszczółka Maja*, więc Dziadek poszedł.

Godz. 9 wiecz, teraz idzie ostatni odcinek sentymentalnie zrobionego *Martina Edena*. Sąsiedzi na pół patrzą, na pół zasypiają.

14 marca

Raźny Siwak jutro opuszcza szpital. Jeżeli ze mną dalej tak pójdzie, wyprowadzę się stąd we wtorek 22 marca albo we wtorek 29 marca (we wtorki wypisy). To, czy tydzień wcześniej czy później, zależy od tego, czy lekarka Chinka będzie mnie jeszcze potrzebowała i chciała obserwować. Czekam, kiedy teraz każą mi powoli wchodzić na schodek, na dwa, na trzy. Bo na półtorapiętrze jest telefon, a to w szpitalu rozrywka i ułatwiacz życia.

Popołudnie. Przyszła do Raźnego Siwaka. Zabieranie rzeczy. Telewizorka. Radio do jutra zostaje. A nie — radio też się zabiera.

Spokój.

Ciekawe — kto na to miejsce? z jaką akustyką?

Wpadła sprzątać dokładnie pokój ekipa ze studenckiej spółdzielni „Maniuś”. Wyszedłem na spacer. Okazało się, że sprzątacjom spodobały się moje rozrywki lekturowe. Nie wiedziałem, że szpital wynajmuje „Maniusia”.

Wieczorem odwiedził mnie Tadzio o zupełnie późnej godzinie. Siedzieliśmy godzinę w bocznej nawie korytarza na kanapie, nikt go nie gonil. Przez ten czas przywieźli liliputa, ale go zabrali na drugie piętro (sam szedł, stąd wiadomo, że liliput).

W moim pokoju Spokojny rozgadał się. O głodomorze. Raz na święta ludzie mieli w lodówce różne jedzenia. Głodomór zakradł się w nocy i wyjadł iluś (z ośmiu) osobom schab, parówki, szynki, kefir.

— I to wszystko zjadł na raz? — pyta Siwak.

— Na raz. Przecież nie schował, bo gdzie.

Potem opowieść, jak niedawno tu z reanimacji jedna uciekła. Mąż na nią czekał z taksówką. Na drugi dzień ją przywieźli.

Na korytarzu leży pani z małym radyjkiem na uchu i policzku.

Spółdzielnia „Maniuś” (ze sześcioro ich) posprzątała wszystkie pokoje, teraz myje korytarz.

Przywieźli pielęgniarkę z innego oddziału w stanie znarkomanienia.

Dają jej kroplówki, zwiążali ją. Jest nieprzytomna.

Dwie osoby połączone długimi rurami ze zbiornikami tlenu.

Spokojny rozbawił się i coś zaśpiewał.

15 marca

Rażny Siwak już miał wyjść za dwie godziny, kiedy okazało się, że ma dodatkowe uderzenia serca. Zostaje na co najmniej kilka dni. Odwołał żonę, która już miała przyjść z kwiatami.

Spokojny przytoczył opowieści o takich, co już byli ubrani na korytarzu, pogarszało im się nagle i zostawali. Jeden umarł nagle przy zakładaniu butów.

Jutro mam iść z lekarką na pierwszą próbę schodów.

Przyszła żona Siwaka. Naniosiła mu różności na dalszy pobyt. Wróciło radio.

Wszystkiego Dobrego

i nawzajem

MIRON

Do 10-go roku życia mieszkałem z rodzicami, Nanką, Sabiną, mężem Nanki pijakiem i dziadkiem Walentym Białoszewskim razem — na Lesznie — w pokoju z kuchnią. Dziadek był majstrem stolarskim i miłośnikiem polskich książek. Na zrobionej przez niego etażerze stało ich dużo od dołu do góry. Stare wydania, większość z XIX wieku albo z przełomu. Po śmierci dziadka w 1938 roku w mieszkaniu na Lesznie mieszkała tylko Nanka z Michałem. W kuchni. Bo pokój wynajmowała sublokatorom. Etażerka z książkami dalej stała. Właścicielką ich była Nanka, ale mnie uważała za spadkobiercę. Mogłem sobie wziąć, co mi się chciało. Byłem skromny i nie przyzwyczajony do posiadania. Zabra-

łem tylko do domu pocztowego na plac Napoleona czterotomowego zielonego Mickiewicza. Ballady Mickiewicza deklamował zawsze wobec gości synek brata dziadka, o wiele młodszego od Walentego. Raz na placu Napoleona nocowała u nas ciocia Józia, z zawodu bieliźniarka. Kiedy jeszcze pół spałem w łóżku, ciocia Józia ubrana klęczała koło półki z książkami i mówiła pacierz. Pacierz się przedłużał. Zerknąłem z łóżka. Okazało się, że ciocia Józia — nadal na klęczkach — wertowała Mickiewicza, od razu go odnalazła w zasięgu ręki. To od cioci Józii znam melodię „Nie dbam, jaka spadnie kara”. Ciocia Józia oświecieńskiej części rodziny wyjaśniała np., że śmierć Barbary Radziwiłłówny namalował nie kto inny, jak Simmler. Z dziadkiem Białoszewskim śpiewali sobie walca z *Fausta*, bo kochali opery. Dziadek marzył, żeby zostać rzeźbiarzem. Został stolarzem. Ale używał sobie na meblach.

Dziadek czytał książki, które kupował. Słowackiego też. W okresie, kiedy ja się wziąłem za Słowackiego, dziadek w rozmowie o nim nagle stwierdził, że *Poema Dantyszka o piekle* jest słabsze od innych poematów. Nosilem się z tomami Słowackiego z prywatnych czytelni. Raz w szkole na korytarzu przed popołudniową zbiórką (harcerską?) kolega złapał mi spod pachy tom, otworzył na byle stronie. Przeczytał na głos:

„żonka
pieczonka
koronka”

strasznie się śmiał. Odebrałem książkę, oburzony. Znalazłem się po drugiej stronie barykady — tak nagle — z taką wielkością. Mnie też z początku dziwiły te rymy, ale miałem do Słowackiego ogromne zaufanie. Raz jeszcze w życiu poczułem się po drugiej stronie barykady z Mickiewiczem. Odstawiałem w 300-osobowej sali w Puławach w 1960 r. samotnie fragmenty IV części *Dziadów*, Gustawa. Ze strony widowni nie mogłem odczuć żadnej reakcji. Aż się zląkłem — za siebie i Mickiewicza. W tamtych czasach, moich 15 lat i „mrzonki”, „pieczonki” otworzyłem pewnego dnia na Lesznie u Nanki otomanę. W otomanie leżały stare fiszbiny, kawałki gorsetu, dzety, pukle włosów na pałąku, takim jak do słuchawek radiowych. Jeszcze się wtedy wspominało panny, które wypychały sobie za chude łydki gutaperkiem. Między gratami znalazłem białą książkę, broszurowo-miękką, ale sporą. Jej tytuł *Rymy Xiędza Baki*. Zajrzałem do środka. Bardzo mnie zaskoczyła. I zajęła. Przedziwne rymowanie. I tyle w tym o śmierci.

Kiedy czytałem później ze sporym, ale nie za wielkim zainteresowaniem

Trzech muszkieterów Dumasa i trafiłem na bohatera, który układał poemat z jednosylabówek, zdaje się na 400 wierszy, nie zaimponowało mi to. To sztukmistrzowskie, ale za komiczne. To nie ksiądz Baka.

W latach 1939–42 mieszkaliśmy znów u Nanki na Lesznie, bo Niemcy zajęli nasz gmach poczty na placu Napoleona. Znów zaglądałem do *Rymów Xiędza Baki* i dziwowałem się z życzliwością. Czytałem po kolei stare książki z etażerki dziadka. Książki wtedy przecież nie wychodziły. Czytałem jakiegoś polskiego autora scenę między wężem, Adamem i Ewą; artykuły Sienkiewicza o Zoli.

No i miałem rację. Wybuchło powstanie. Wszystko to z domem na Lesznie spaliło się. Tomy Mickiewicza na placu Napoleona albo Niemcy wyrzucili, albo też się spaliły. Gdybym jeszcze cokolwiek z tego miał na Chłodnej (1942–44), też by się spaliło.

Pisane w szpitalu 13 marca 1983 r.

dla Pani Profesor Marii Janion

Miron Białoszewski

[List 8]

Warszawa — szpital grochowski, 17 marca 1983 r.

Kochane Panie Eumenidy!

Wczoraj dostawili nam czwartego pana w poprzek, bo przez nie-wyjście Rażnego Siwaka zrobił się zator w przepuście po-reanimacyjnym. Pan Dostawiony cichy, nie wadzący nikomu. Korytarz ciągle przemeblowują. Przesuwają łóżka. Jedni chorzy wchłaniani są przez pokoje, zjawiają się na ich miejsce nowi. A jeszcze inni ubrani opuszczają korytarz z tęczką, rodziną i dumą. W południe przywieźli babuleńkę, ułożyli ją blisko naszych drzwi. Spokojny wyszedł na korytarz, wrócił, mówi:

— Ta staruszka to patrzy w górę, ona do Bozi.

Wyszedłem sprawdzić. Tak, oczy w górę, jakaś tam kroplówka do ręki. Po południu wychodzę, a tu łóżko osłonięte dokładnie białymi parawanami. Zaglądam — nie widać nikogo. Ktoś przechodzi, mówi:

— Tam nikogo nie ma.

Ale ja potem zauważyłem wystające spod przykrycia siwe włosy. Podobno po pewnym długawym czasie ktoś się zbuntował, że staruszka za długo tu leży. Ktoś inny oznajmił:

— I zabrali ją łapiduchy.

Dziś na jej miejscu leży nowa pani z kroplówką i śpi.

Ja miałem przymusowe ćwiczenia gimnastyczne z panią magister. W pokoju u panów sąsiadów — bo oni też ćwiczą. Nie dałem rady wszystkiemu, choć to na siedząco. Magister pocieszyła, że na drugi, trzeci raz będzie lepiej. Była w bardzo efektownym stroju i w ogóle efektowna p. Hania K. Kapelus z dużym rondem. Aż sąsiedzi wyrazili od razu zadowolenie. Od p. Hani wiem, że p. Małgosia marnie się czuje. I to nie jest dobre. Pani prof. Misia jest ostatnim filarem zdrowia. I musi nim być. Siwak zamyka automatycznie wszelką muzykę cokolwiek poważną. Raz natrafił na skrzypce, aż się zląkł:

— Ojoj! — i zatrzasnął.

Spokojny mu przywtórował:

— Pitulenia...

Spokojny dostaje środki popędzające siusianie. Pije wielkie ilości. Ja też nie mało (tutejsze i z domu) i ileś razy na dzień snuje zdania o jedzeniu i picciu.

— Szyneczka... woda z bąbelkami albo dobry biały barszczyk.

Obaj z Siwakiem co pewien czas patrzą w okno, co z samochodem (prywatnym), który stoi na ulicy, raz przykryty płachtą, raz odkryty, raz ten, raz inny. I stwierdzają, że tu mieszka nie najgorszy kombinator.

Wieczorem nie bardzo z sercem, od 3 dni zmęczenie (na leżąc też). To zmęczenie przeszło w uścisk z przebolewaniem. Dostałem dwie pastylki pod język. Powróciło do zmęczenia z lekkim ścisaniem. Moja opiekunka, siostra Bożeny z PIW-u, w tej chwili odwiedziła mnie w szlafroku. Ataki astmy. Leży na moim oddziale nagle.

Lekarce Chince pożyczylem *Zawal*, bo chciała.

W wychodku oparci o leżankę dwaj palacze (palarnia pod oknem) i salowa, oparta o parapet łokciami. Gadają, gadają.

Przed wychodkiem mieszkaniec korytarza, kwadratowy cieleśnie, narzeka, że nie ma się gdzie położyć. Na to ktoś:

— Połóż się i śpij.

Użeranie się dalsze. Tymczasem swobodnego dojścia do „kabin” nie ma (w dodatku jedna grozi zapchaniem).

18 marca

Z sercem uspokoiło się. Dobrze się spało po proszku nasennym. Rano w ustępie słyszałem rozmowę:

— Ale te siostrzyczki lubią pana, tak z panem ostrożnie wczoraj, jak pan rozrabiał.

— Szósta próba samobójstwa.

— Szósta?

— Szósta, poszedłem do domu kultury, psycholog za mną szła, mówi, że jestem naćpany, stan depresji.

— A z czego?

— W domu przykrości.

— A kto ich nie ma? Trzeba na życie patrzeć radośniej.

Wytrzymuję w szpitalu. Bo narzuciłem sobie, że muzyka rozrywkowa i gadanie półgłosem nie przeszkadza mi za bardzo. Przyzwyczyłem się do całości. Ale to jest wciąż życie publiczne. Nie ma samotnego zakątka, nie można się nawet swobodnie umyć. Chyba że dostanę pozwolenie pod prysznic.

Niedaleko palmy stoi szafa biblioteczna. Miała urlop do wczoraj. Dziś nareszcie zastałem ją otwartą. Bibliotekarka na stołku przy stoliku pozwoliła grzebać. Wybrałem ze 3 książki i pewniejszy siebie wróciłem na łóżko. Teraz pewnie będzie gimnastyka, o ile zajdzie do nas pani magister: Gimnastyka na siedząco. W sąsiednim pokoju. Wczoraj bardzo mnie zmęczyła, ale wczoraj byłem gorszy.

Anula z Anina przywiozła mi też lekturę. Broszury parapsychologiczne. Jedna — przedruk przedwojennej książki polskiej o leczeniu mesmeryzmem.

Gimnastyka poszła dziś o wiele lepiej. Spokojny czuje się coraz lepiej. Podśpiewuje razem z radiem. Wczoraj posprzeczał się z piżamowcem, który z innego pokoju przyszedł do nas w odwiedzinach do pana Dostawionego. Gość w piżamie o ośrodku w Aninie, że niedostępny. Spokojny zdenerwował się:

— Bzdury pan opowiadasz, bzdury, ja tam byłem.

I jeszcze pokłócili się o pewną profesora z Anina, czy ma 50 lat czy 70 i czy jest czy nie jest żoną dostojnika B.

Sobota 19 marca

Wkrótce po wyjściu Pani i Przemysława Brykalskiego przywieźli w okolicy naszych drzwi jęczącego mężczyznę, podłączyli pod tlen. Ale on zaraz umarł. Już nowa pani leży na jego łóżku. To łóżko jest niedobre, bo niedawno przecież umarła na nim babuśka. Ale nowa pani wygląda na osobę do życia.

Niedziela 20 marca

W drugiej połowie korytarza mieszkają rzędem na łózkach cztery panie. Rozmawiają ze sobą, ożywiają się w nocy. Tak im się podoba ten sposób „leżenia”, że nie chcą iść do pokojów, chociaż w pokojach są już wolne miejsca.

Już panią z niedobrego łóżka wzięli na salę, na jej miejscu leży uczepiony trzech kropłówek młodzieniec à la święty Wawrzyniec na ruszcie i nieprzytomnie woła:

— Szybko! Szybko!

Podobno to cukrzyk.

Dziś podszedł do mnie pan ze wspólnej gimnastyki i spytał, czy nie mam przy sobie którejś swojej książki. Miałem *Rozkurz* (dla kogoś z lekarzy), więc mu pożyczyłem.

Wczoraj na obchodzie młodziutki lekarz o wyglądzie maturzysty spojrzął na moją tablicę:

— O ile wiem z literatury, to już drugi zawał.

Więc trochę urosłem we własnym mniemaniu.

Lekarka Chinka — o czym chyba wspomniałem — czyta mój *Zawał*. Jeszcze nie wiem, co o nim myśli.

Poniedz. 21 marca

Okazało się, że cukrzyk miał już atak śpiączki. Zabrali go na reanimację. Spokojny oznajmił, że śniło mu się, że robaki mu chodziły po uszach, po oczach.

Radio gra. Rażny Siwak słucha jednocześnie opowieści Spokojnego i radia. Pan Dostawiony też słucha. Też się do nich nadaje. Tu ogromna większość się do siebie nadaje.

Byłem już na schodach, wysokim półpiętrze, i serce dobrze wypadło. Okazuje się, że zrobienie takiego pięterka dla serca to jest tyle, co przejść po równym 3 km. Chodzę na spacerki korytarzowe, nieraz z p. Kaliną (siostrą Bożeny), która przechodzi tu całą przeciwastmatyczną kurację. Tego cukrzyka ratowali w nocy. Serce mu stanęło, ustał oddech. Ale lekarz dał mu 7 uderzeń elektrycz. w serce i ożywił. Teraz uratowany leży na „erce”. Nic nie wiedział do tej pory, że ma cukrzycę.

Podobno wiosna, ale ja jej tu nie czuję. Tu jest niezmienny klimat korytarza i trochę w salce powiewu od okna nieokreślonej pory.

Serce mam od wczoraj wieczoru znów jakby zmęczone, ale to się będzie ciągnęło. Poza tym kaszel sercowy, zwłaszcza przy mówieniu.

22 marca

Trochę lepiej. Usiłowałem dzwonić do Pani (Misi) i do Małgosi. Ale południowa godzina niedobra do zastania.

Lekarka nakazała mi większy rozruch. Przymierzanie się do życia, które oni chcą jeszcze zaobserwować. Wyjdę — jeśli szczęśliwie pójdzie — koło przyszłej środy (31 marca). A Konstancin w połowie kwietnia. Dostałem pozwolenie na prysznic.

Pozdrowienia.

Do widzenia się

MIRON

Otworzyli kwaterę okna. Zimno. Radio się drze. Zaklejam uszy jak mogę.

„Kochaj bliźniego”. O taką książkę dopytuje się jedna z lekarek. Jej córka to czyta, ale zakończenia brak. Ja wiem, jakie jest zakończenie „Kochaj bliźniego”* . Ale im nie powiem.

MIRON

* „— kurwa twoja mać!”

[List 9]

Warszawa, 25 marca 1983

Kochane P. P. Eumenidy!

Młody cukrzyk umarł jednak tamtej nocy.

W pokoju p. Kaliny, siostry Bożeny z PIW-u, leży 26-letnia histeryczka, która wciąż się wsłuchuje w swój organizm, każe sobie poprawiać poduszki, wzywa lekarza, a jak do niej przyszła matka, to się nagle poderwała, że nic jej nie jest. Ma dwoje dzieci. Nie chce jej się wracać do nich do domu.

W innym pokoju leżała z plastrem nad ustami do przytrzymywania rurki tlenowej stara pani. Okazało się, że to Polko-Amerykanka, b. bogata, późnym wieczorem nocnym była tam u niej rodzinka, m. in. kobieta w bogatym białym futrze. Zabrali ją do Otwocka.

Jedna z salowych, podobna do pół-króla Goździka i do pół-Baby Jagi w pokoju po bogaczce robiła awanturę innej starej, nie-bogaczce:

— Mówi pani, że pani nie nasrała, a co pani ma na szlafroku? A co się za panią ciągnie. Patrzcie ludzie, a ona mówi, że się nie zasrała.

26 marca

W nocy sąsiad Spokojny wziął się do jedzenia ogórków w słoju.

— Do rana mogę umrzeć, szkoda by ogórków. Właśnie śniło mi się, że umarłem.

Mój zawał chyba nie był mały. Zdaje się, że nawet spory. Tyle że dobrze się serce postarało. I lekarze są zadowoleni.

Niedziela 27 marca

Mija się w otwartych głębiach pokojów maski śpiących starców, jak maski pośmiertne, zapadłe w sobie, nieruchome.

Ta babka, której robiła o paskudzenie awanturę salowa, chodzi — bo blisko — do męskiego ustępu, kabiny często zajęte, wtedy ona siusia i wali kupy na posadzkę.

Poniedz. 28 marca

Śniło mi się, że ja i Pani schodziliśmy z 1-go piętra. Albo ode mnie z mieszkania, albo z piętra sklepu. Prosiłem, żeby Pani zeszła pierwsza, bo ja jeszcze mam coś (chyba) pozamykać. Kiedy zszedłem, nie było Pani już w sklepie na dole. Na ulicy ciemno, też Pani nie widzę. Niepokój. Rozglądam się. Ktoś idzie. To nie Pani. Wracam do sklepu. Główna ekspedientka trochę niezadowolona trzyma drzwi uchylone do zamknięcia. Mówi:

— Ta pani poszła.

Znów wychodzę na ulicę. Pani nie ma. Przystanek. Facet podchodzi do mnie, mówi coś o Polakach, przyciska mi rękę do włosów, cisnąc w dół, popycha na jezdnię. To samo robi z kimś drugim. I tyle.

Zbudziło mnie rozdawanie termometrów.

Tętno mam przyspieszone. Ale jutro — wyjście.

Zszedłem na EKG. Minął mnie wieziony w zielonym pokrowcu nieboszczyk. To dobry znak. Zawsze przy wyjściu ze szpitala spotykałem nieboszczyków. Przynosili mi pomyślność.

Salowy Zygmunt powiadomił nas, że są już przywiezieni dziadkowie na święta.

Tak, więc wtedy doktor mnie pocieszył, że to był mały zawał, żebym się nie przejmował. Tymczasem to był ciężki zawał. Nie będę już mógł wyjeżdżać w dalsze podróże, trudno.

Jeszcze dziś miałem gości. Jutro przewiożą mnie samochodem na Hożą. Moi współlokatorzy czytają gazetę, śpią, puszczaają radio, mówią

pół-żartem z pół-smakiem o jedzeniu — jajeczko, chrzan ze śmietaną, szyneczka, woda z bąbelkami.

Potem znów przerwa, wiercenie się, podsypianie. Potem podchodzi dwóch, a potem trzeci do okna i oglądają ulubiony samochód (czyjś), który tu przeważnie stoi naprzeciw. Komentują, debatują.

Anula przeczytała mi horoskop współzycia Chopina i George Sand. Oraz opowiedziała horoskop Polski. Punktem wyjścia był chrzest. Ich wykładowca, ich „pan” od astrologii musiał koniecznie wiedzieć godzinę chrztu Polski. Doszedł do wniosku, że musieli dojechać, odjechać, mieć czas na to. A więc chrzest Polski musiał być w południe. Inny pan w transie widział Ostatnią Wieczerzę. Chrystus miał włosy rude, aż czerwone, oczy szaroniebieskie, dosyć duży [nos? — przyp. red.], piękne ręce, jeden paznokieć małego palca bardzo długi. Piotr z brodą krótką, rozczochraną, nie bardzo czystą. Andrzej wymuskany. Jan z krótkimi włosami. Judasz ze wszystkich najprzystojniejszy.

Salowym rozdałem już pieniądze. Jutro dam kilka paczek zagranicznych siostram. Kawę dla pani doktor musiano mi ukraść, bo po prostu jej nie ma. A była! Zamówiłem już wobec tego kwiaty.

Jutro minę się z telewizorkiem, który tu wraca na święta. Jestem już b. uodporniony na towarzystwo i radiotele.

Wiele pozdrowień

Do usłyszenia się (telef)

MIRON

Kawa znalazła się w szafce!

[List 10]

Anin 4 maja 1983 czyli ninie w Aninie

Kochane Panie Profesor Eumenidy!

Już jestem tydzień w tym sanatorium, które zwie się pawilonem G albo kliniką rehabilitacji.

Dowiedziałem się, że mam duże zmiany w płucach, nie gruźlicę, tylko jakieś rozedmowe. Więc mam w sobie nowy zestaw chorób. Ja jako całość fizyczna — dosyć szmelcowata. Jeszcze mnie na dodatek pobolewają ślady urologiczne.

W końcu przestałem się przejmować. Dziś zimno, to nie wychodzę. Ale tak to ruszam w świat z półtora kilometra. Nie za prędko, czasem

odpocząć. PIW-ianki były tu. Naniosły mi soków, jabłek. Anula z Anina, więc z obok, uczy w szpitalu (obok) angielskiego doktorów i docentów. I zagląda do mnie, podrzuca mi zieleniny, na które od zawału bardzo leczę, wciąż mając w pogardzie słodkości. Aż tak się zmieniłem!

Co prawda, gdybym się dorwał do prawdziwych ciastek, to bym od razu zjadł dziesięć. Więc lepiej nie tykać, nie wachać.

Słowiki drą się tu od 1 maja. Dziś kukała kukułka. Kwitną gruszki, jabłonie, bzy, zaczynają kasztany.

Czytam. Słucham swoich taśm (przez słuchawki). Czytam książki, a to Ramuza, a to Forrestera, a to międzyplanetarno-kryminalne. Wstawać trzeba na ciśnienie i tętno o 7 rano. Nie jest źle. Ale ja nie mam w sobie radości życia. Najwięcej jeszcze czegoś tam dochrapuję się wieczorem w łóżku (z dobrego nastroju), ale wtedy od razu robi się dziesiąta, jedenasta, trzeba łykać prochy nasenne, bo tylko 7–8 godzin do spania.

Współlokator ma duże, olbrzymie zalety:

1) mało mówi

2) nie puszcza radia.

Jak tłumaczyłem przez telefon, nasz pawilon stoi na krańcu terenu sercowego, prawie w lesie. Zbudowany na wzór klasztoru. Kwadrat wirydarza w środku. Dokoła tego w kwadrat korytarz. Dokoła tego w kwadrat zewnętrzna drewniana galeria pod dachem z otwarciem na świat (drzew, traw). [Kwadratura koła] Do kuchni z korytarza wchodzi się z łomotem i potrząsem przez otwartą na dwie strony windę. Ta winda nie idzie na żadne piętro, tylko w dół, gdzie jest podziemne przejście do szpitala. Tędy jadą kotły i latają w zimie lekarze. A teraz może złodzieje. Bo przedwczoraj sekretarce z sekretariatu ukradli całą pensję i rentę jej matki, wczoraj okradli z pieniędzy w pokoju dwóch pacjentów. Dzisiaj ksiądz–pacjent z drugim pacjentem świeckim zbierali na pocieszenie dla sekretarki. Dałem 1000 zł, inni chyba też sporo. Jest nas tu wszystkich pacjentów dwadzieścioro. Cztery baby (w tym dwie b. grube). Reszta chłopcy. Wejście do pawilonu ma drzwi podwójne, jedno kryte, jedno — te ode dworu — szklane. Zawsze ich przezroczyłość myliła, że można przejść przez szkło.

Dziś wychodzę. Szkło przezroczyście niż dotąd. Wyciągam ostrożnie palec. Palec przechodzi na wylot. Za palec ja cały przechodzę na wylot. Szkło znikło. Nawet aluminiowe listwy naruszone, wychapane.

Za drzwiami drzewo. Na pniu drzewa od dołu do góry ciężkie ślady jakby po pionowym chodzeniu ciężkiego anioła. To pewnie on przeszedł pierwszy przez szybę, tłukąc ją bez śladu. A przedtem jeszcze może przy okazji ukradł tu i tam pieniądze.

Kiedy leżałem w szpitalu, włamali się do lewych i prawych sąsiadów za jednym zamachem. Popsuli zamki, nawet futryny. Zabrali jednym srebrowym, skarpetki i inne, drugim z filizanek złoto. Mnie oszczędzili.

5 maja

Mój sąsiad posprzeczał się z pielęgniarką o ślanie łóżka. Dowiedziałem się dzisiaj, że EKG wypadło dobrze. Że te rozedmowości to stara sprawa pogruźlicza, nie nowa zawałowa. Więc z tym żyło mi się nieźle. Tętno lubi mi się podnosić przy ruchu, ale tym — lekarka orzekła — nie trzeba się przejmować. Mam tu tętno nieco duże (do 100, 120, ale nieraz 88). I podobno to sprawa wyrównania leków.

Nie mogę prędko chodzić ani dźwigać, ani stać gdzieś dłużej (w ogonku). Trzeba z tym uważać do roku. Więc jest nadzieja, że później będę troszeczkę silniejszy na sercu, w sobie. W co trudnawo mi uwierzyć. Wiara tu przeczy nadziei. A racja: niewiara! Więc w porządku. A co z miłością? Pod wieczór mógłbym niekiedy kochać trochę tych i owych ludzi. Rano — nie tak mocno. Choć pamiętam, że często wracając rano do domu żał mi było tych zaharowanych i wstyd, że ja jestem wolny.

Teraz jeszcze zostaje nadzieja na przyszłość daleką, nieco po życiu. Co łączy się z wiarą (w siebie i odbiór). Bo mowa tu o pamięci, więc głównie o skutkach pisania. To też się łączy z miłością, bo czytelników na jakiś sposób przecież się kocha. Przynajmniej w czasie pisaniowo-czytaniowego kontaktu, który rozciąga się w czasie, i chodzi o to, żeby w jak najdłuższym czasie.

Tego, co później kiedyś po mnie — nie będę przeżywał. Ale przeżywam to trochę teraz. Jest to nieco analogiczne z przeżywaniem, mimo odległości. To tak wygląda z mojej strony. Czytelnika nie obchodzi (raczej), czy ja żyję, często o tym nie będzie wiedział. I to wtedy też mnie ożywi, czego nie będę czuł wtedy, ale mogę poodczuwać potencjalnie na zapas teraz, szczególnie przy pisaniu.

DRZEWA — KWIECIEN — UWAGA

jeszcze w liściach nie są
już w omgielkowaniach są

z daleka mijane ich konstrukcje
na nowo wkopują się
stają
kuszą
łapią
wykręty równowagi

Anin 2 V 1983

Wielkie pozdrowienia i uściski

SERCOWISKO

tu sanatorium w lesie
sercowe

serce samo
serce z czymś
serca na naczyniach drzew czy ludzi
ludzie do okien
okna do drzew
serca skaczą po drzewach
słońce
wyjada niedopowiedzenie
życie się oblizuje

opary
serca
wiszą
od pnia do pnia

MIRON

Anin 3 maja 1983

wsiąkają
w przewrotny labirynt
pękają

Anin 8 maja 83 r.

KAB — KICI KOCI

OPERA LEŚNA

(KICIA KOCIA, SYBILLA GROCHOWA oraz BŁOGOSŁAWIONA
SIWULA Z WISZNU WOLI wynajmują mini-sanatorium-pustelnię)

KICIA KOCIA

Bardzo tu... bardzo...

SYBILLA GROCHOWA

Nie wynajmiemy docenta?

BŁOG. SIWULA

Bynajmniej! Samolecznictwo!

(tańczą) **WE TRZY (dokoła sosny)**

Samolecznictwo

to nie tylko wygodnictwo!

ZZA DRUGIEJ SOSNY

Ku-ku!

WSZYSTKIE TRZY

Torby! Pieniądze! Pierwsza kukułka!

(zza sosny wylatuje) **STRESA**

A ku-ku!

To ja

Rzuciłam wszystko!

Nie wierzę w nic!

ONE (do niej)

Dali-go stąd!!!

(i w tan)

Samolecznictwo

to antyszkodnictwo!

BŁOG. SIWULA

W drugą stronę!

WE TRZY (tan, śpiew)

opera leśna

(nagle migają nagusy)

nie musi być obleśna.
 (migają nagusy)
 ONE (stają)
 Gdzie my trafiły?
 Co my wynajęły
 (Wśród nagusów) STRESA (nagle krzyczy)
 Nudyści!
 Órodek!
 Sam środek!
 Nie nago? Dali-go!!!

Anin 26 maja 1983 r.

CHOROBA

Nie wychylać się
 dosłownie
 nie rozruszać
 dosłownie
 mszczą się zużyte metafory
 a dosłowności biologiczne
 to potwory
 ja
 ich skrzyżowanie
 pokrzyżowanie siebie sobie
 czego się tak wypieram?
 możliwości?
 które się czały
 jeszcze coś z czegoś wybieram
 jeszcze się czają niemożliwości

[List 11]

Anin 13 maja 1983 r.

KOCHANE PANIE PROF. EUMENIDY!

Już mi zaczął brzydnąć piękny Anin, już mnie ogarniała od środka (tętno) i od okna melancholia, zagęszczała się (we mnie i wkoło mnie).
 Dużo mi się nieraz myśli o możliwościach psucia się i dobywania do

końca, o tarapatach obronnych, o utrzymywaniu i traceniu osobistej (fizjologiczno-bytowej) wolności, niezależności.

Podliczałem moje próby generalne zdychania (to najtrafniejsze słowo, od tracenia tchu). Wypadło ich dobrych kilka, choć nie miałem aż takich ambicji, do imponowania starczyłyby dwie.

A to było tak:

W czasie wojny przebywałem paskudną kurację i po pewnym zastrzyku na progu gabinetu lekarza myślałem, że cały pękne, że tryśnie mi krew z głowy. Wepchali mnie na fotel, wbili zastrzyk prosto w serce, co mnie uratowało.

Po wojnie piliśmy ze Swenem Czachorowskim w Kobyłce groźne ilości ekstraktu kawowego; stare puszki z zastygłą na lawę nescą, wrzucało się do garnka, gotowało, spożywało. Jednej nocy w Kobyłce w łóżku dostałem arytmii serca, trzepotu, drgawek, ustanieć bicia, znów drgawek, aż serce nagle stanęło. Zerwałem się, serce nic, ja czuję, że padnę w apopleksji, krzyczę:

— Kropli!

Serce wciąż stoi. Mama Swena podleciała z sokiem świeżej waleriany, gołnałem, serce zaczęło bić.

Między gruźlicą a zawałem na pl. Dąbrowskiego budziło mnie o świcie krztuszenie się, tzn. zatkanie gardła i tchawicy, zrywałem się w kucki i do balkonu i tam w rżeniu walczyłem o złapanie tchu. To było kilka razy.

W międzyczasie topiłem się, wciągany w jezioro przez nie umiejącego pływać.

Niedobra noc ze skróconym oddechem podczas ostatniego zawału, co i tak było najłżejsze.

Wczoraj miałem słaby dzień. Lekarka na wieczór dała mi pół pastylki na zwolnienie serca, a to zadziało źle: gorąco w głowie, słabości, ciężki oddech. Lekarka i pielęgniarka zaczęły koło mnie skakać. Zastrzyki z eufiliny i czegoś tam, sorbonity. I siusianie — jako konieczność. Wzięły mnie (fotelem na kółkach) do gabinetu zabiegowego, tam na wysokim łóżku leżenie, badania, zastrzyki, EKG. EKG wychodziło dobre. Po prostu rozedmowe oskrzela nie zniosły zwolnionego rytmu serca. Przez kilka godzin zasypiałem na kilka sekund, łapałem krótkie, trudne oddechy, potem dłuższe, te mnie usypiały na moment, ocknięcie się i łapanie tchu i tak w kółko. Nagle o 3 godz. w nocy obróciłem się na prawy bok i zacząłem oddychać całkiem swobodnie. Poczuję się

właścicielem życia. I podejrzewam, że niebo chyba ma polegać na nieustającej pierwszej chwili szczęścia.

Teraz jest dzień, leżę znów na swoim łóżku, czuję się świetnie psychicznie i fizycznie, patrzę z wdzięcznością na drzewa (całą noc przeleżałem w gabinecie, bez tego widoku od świtu) i nabrałem chęci i siły na ten list. Nawet napisałem drugą wersję

DRZEWA — KWIECIEŃ — UWAGA

mijane

z daleka

w ledwie omgiełkowaniu

czegoś wypuszczanego

ukazują swoją konstrukcję

jako odkrycie

Ponieważ w nocy za przeproszeniem wysiusiałem 4 litry, dziś jestem załózkowany, z kaczką u nogi łóżka. Pielęgniarki mi zmieniły piżamę, pościel i mówiły:

— Zaraz panu dostawimy przyjaciela!

— Co za przyjaciel?

— Zaraz dostawimy, zobaczy pan.

I zobaczyłem: podłużny stolik na jednej nodze, tu mi stawiają przynieszone jedzenie.

Docent przy badaniu mnie dziś powiedział:

— Pokazał pan chyba cały repertuar swoich możliwości.

Ptaki gwizdzą, fujarkują, pi-pi-tiakają.

Mam dziś „żyć spokojnie”, a tu na przekór dwie osoby już były, a jeszcze zajrzą dwie. Pielęgniarki regulują ruch, żeby nie za długo.

Czytam książkę Milewskiego *Ciemne sprawy dawnych warszawiaków* na zmianę z Panią de Sevigné. Właściwie nie wiem, dlaczego jeszcze raz wchodzę w zamieszanie XIV-Ludwikowe znanych mi z różnych już stron osób, dlaczego mam znów przeżywać ich intrygi, przypominać sobie, kto jest kto. Widocznie muszę.

Sobota 14 maja

<http://rcin.org.pl>

Czytam kryminał, dzieje się w N. Jorku. Mam przyjemnośćkę ustalać

mniej więcej — przy podanych ulicach — miejsce akcji. Nie przypuszczałem do niedawna (przed jazdą tam) tego rodzaju zabawy. Dalej leżę. W niezbyt dobrym usposobieniu do życia.

Poniedziałek 16 maja

Większość leży. Mniejszość — siedzi (na łóżku). Kręcenie się po pokoju. Może mnie dziś wypuszczą na patio, to bliźniutko. Chce mnie tam poprowadzić ksiądz. On też jest pacjentem. Polubiliśmy się, jest delikatny i inteligentny. Odwiedziła go Pani uczennica z Gdańska, jedna z tych, co uczestniczyły w moich gdańskich „Janionowskich” wieczorach autorskich. Poznała mnie przechodzącego i pozdrowiła przez księdza. Ksiądz jedzie za kilka dni na sercową operację do Monachium z lekarzem-pilotem. Codziennie tu wpada do mnie Anula, bardzo blisko mieszka i w Instytucie prowadzi kurs angielskiego dla doktorów i docentów. Tu dużo docentów. I hierarchiczności. Anula pomocna. Przynosi różne rozmaitości zieleninowe, jogurty. I pomocna towarzysko.

Wczoraj była Kicia Kocia, też mnie rozbawiła. Zaplanowałem przez telefon przed niedobłą nocą choroby, że jej odczytam najnowszy kabaret *Operę leśną*. Ale że w pierwszym dniu ozdrowieńczym obstała mnie obojętność, niechęć, uporczywość niedobrych myśli, nie czytałem nic, ona mnie pocieszała. Dziś od rana lepiej się czuję na duchu, tak że mogłem wziąć długopis do ręki. W oknie mam wzmóżony widok, bo jego druga połowa (pierwsza — zielone brzozy) do niedawna nie-zielona, goło-konstrukcyjna — dęby — zazieleniła się. Dzięki ostatnim upałom i przedostatnim deszczom.

Mój współlokator b. dobry. Był na przepustce. Za tydzień chyba się wyprowadzi do domu. Ja jeszcze chyba na troszkę więcej zostanę po mojej oskrzelowo-dusznosciowej przygodzie. Nie wiem, kogo bym tu dostał następnego. Jedno pewne, że radia tu puszczać nie wolno.

Mój współlokator jest doc. dr inż. Tak podpatrzyłem na kopercie listu do niego. Czyta cały czas *Chrobrego* Gołubiewa — teraz już czwarty tom.

Kłaniam się i ściskam

MIRON

Wpadła lekarka, że wieczorne EKG wypadło b. dobrze.

Od jutra mam już chodzić na stołówkę i prowadzić życie pawilnowe.

[List 12]

Anin 20 maja 1983

Proszę Pań Eumenid!

Proszę Pani Profesor Misi!

To wtedy to był obrzęk płuc. Szybko minął. Nie powinien niby wrócić, ale jednak wrócić może. A wiemy, jak jest z tym, co nie powinno, a wraca. Czuję się średnio, trochę w górę, trochę w dół. Fizycznie. Psychicznie — nie tak źle. Choć jestem skazańcem, który ma nadzieję na odwołanie wyroku. Jest zasadnicza różnica między moim życiem przed 2 zawałem i po. Jakbym stał po drugiej stronie. Oglądałem wczoraj reportaż z domu starców. Byłem z nimi po jednej stronie — tamtej. Pani uczennica, która odwiedziła księdza-pacjenta Dolejewskiego, to pani Kwiryna Ziembra.

Mówił mi Tadzio Sobolewski o Pani referacie po filmie Herzoga (tak się pisze?) o karłach. Bardzo mnie ten film zaciekawił.

Dziś wyprowadza się do życia mój współlokator. Na początku był ponury, podejrzliwy wobec chorób i lekarzy. Teraz zadowolony. Może będę miał ze dwa dni przestoju w pustym pokoju. A potem — nie wiem — kogo mi los ześle. Nie chciałbym dostać zbyt wesołego pana. Jeden wesoły pan starszy lata tu żwawo po pawilonie. Inny — średniawostarszawy z siwą brodą niby najeżony, a jak powie, to od razu dowcip. Ja mam od dawna b. ograniczony limit na odbiór cudzych dowcipów. Chyba że to są bliscy. To zupełnie inna sprawa i inne zażębenia. Pobędę tu jeszcze do końca maja, o ile nic nie popłacze się na gorzej.

Powinno mi się chcieć wejść w pisanie, nawet w większe. Ale nie mam zahaczenia.

W przedpokoju pawilonu, koło kanapy i telefonu, wisi

RUCH CHORYCH (bardzo dobry tytuł do kryminału)

tu wykaz 20 nazwisk na 10 numerach pomieszczeń. Zresztą zwykle są luki właśnie z racji „ruchu”.

Obok plan pawilonu (też świetny do kryminału)

pokoje chorych

wejście do patio przez „pokój pobytu dziennego”

dwie windy z podziemi na parter (pięter nie ma), jedna kuchenna, druga na bieliznę

gabinet psycholożki, a obok schody do podziemnych przejść, rozgałęzionych, prowadzących do głównego budynku.

W patio ławeczka, trzy wysokie dęby, które się tu dostały z poprzedniego

układu (nie było nas, był las). W kącie kwitną amarantowo trzy rododendrony. Na patio wychodzą okna gabinetów z dwóch stron korytarza, więc tym bardziej mogłoby się tu wydarzyć zamordowanie w majowy dzień na oknach wszystkich, ale żeby jednocześnie nikt nie zauważył. Dobra obecność księdza-pacjenta.

Nasz pawilon przedtem był zakaźny. Pozostały jeszcze po zakaźności nad wejściem świetlówki, czy jak to tam się zowie, zabijające zarazki, oraz przedpokój ze zlewem przed każdym pokojem. Po bogaczach-wybrańcach (zakaźnych) były jeszcze w zeszłym roku telewizory i telefony. Teraz nie ma. Zostały dwie łazienki o szaro-niebieskich kafkach z przedpokoikami szatniowymi. Pielęgniarki urzędują przy kontuarze na zakręcie korytarza.

Le roi est mort, vive le roi!

Nie będę miał przestoju. Nowy pacjent już czeka. Tamten jeszcze ma tu rzeczy. Ten już w tej chwili zjawił się z żoną i dzieckiem, dosyć młody, chudy, chyba po operacji, spokojny, zaciąga w mowie. Układają całą rodziną na łóżku i w szatni za łazienką swoje różności. Już do lodówki zaniósł wałówkę. Radia żadnego nie ma. Wyszli na korytarz. Stary pacjent współlokator chwali mnie, ja jego. Odjeżdża o 2 po południu, a jest dopiero godz. 12.

Już widzę, że nie grożą mi hałasy ani dowcipy.

— To nic sam pan nie pobędzie — ubolewa salowa, która weszła.

— Nic sam nie pobędę.

— Jeden odchodzi, drugi przychodzi, jak w tym młynie.

Lekarka z papierkami, która dopiero co odprawiła starego pacjenta, wpada, pyta:

— A gdzie ten nowy pan?

— Ano gdzieś z żoną i dzieckiem poszli czekać na wyjście starego pana. Salowa opowiada mi o 22-letnim Jasiu, któremu trzy razy odklejała się sztuczna klapka na serce. Operowali obok w szpitalu, wracał tu, aż za trzecim razem nie wrócił, umarł, a było to z miesiąc temu. Ale podobno na sztuczne klapki źle robi wódka, kawa, a tu do niego z wódką, kawą przyjechały panienki i uctwowali w lesie.

Wczoraj oglądałem angielski serial o porywaniu na wyspę mew niewiomych bab, co — jak łatwo się domyślić — bardzo mnie zainteresowało. Dobrze, że będzie dalszy ciąg.

Mój stary współlokator (emerytowany doc. dr inż.) nie zdążył doczytać *B. Chrobrego* Gołubiewa, a żałuje, bo trudno to dostać.

Stary z nowym wymienili sobie choroby (jednaką operację), dolegliwości i polepszenie.

I zostałem z nowym. Wydaje mi się, że on w pewnej chwili powiedział „tamuj” (Lem pisze przez „tamój”).

Ściskam

Pozdrawiam i wyzdrowiam

MIRON

[List 13]

Anin, sobota, 21 maja 1983 r.

Kochane Panie Profesor!

Leżę na łóżku. Siedzi za moim stolikiem sanatoryjny sąsiad, czyta. Profil w tę samą stronę co ja. Ja ocykam się z zamyślenia. Kątem oka dostrzegam go jako obecność. Ale przez chwilę prawie zapominam, kto to i jak wygląda. Odtwarzam sobie jego profil.

To notatka sprzed iluś dni, na którą się napatoczyłem.

Nowy sąsiad jest spod Łomży. Bardzo rano wstał, muszę przeto wypychać o świcie wkładki w uszy. On dużo chodzi (10 km dziennie u siebie — mówi). Niech chodzi. Teraz leży. Dostosował się do bardzo małej ilości mowy. Ja go o nic nie pytam, tylko raz na parę godzin odpowiadam jak najkrócej. Co prawda, nie aż tak jak Stalin w wywiadzie, to byłoby trochę nieładnie. Stalinowi wyszło ładnie, jak wiele rzeczy.

Sąsiad mówi „tamuj”, ale rozwiązuje od wczoraj niemiecką krzyżówkę (nie ma nic wspólnego w wymowie ze Śląskiem czy poznańszczyzną, jest łomżyński całkiem). Na półce w toalecie postawił sobie wodę Coty’ego. Z lodówki wyniósł wałowę pod okno za-pokoju łazienki — bo w lodówce nieprzyjemnie czuć i to prawda. Toczą się między pacjentami narady co do wywietrzenia jej.

Już chodzę po powietrzu (po dworzu, po dworze). Niedaleczko na razie. Trzeba stopniowo.

Jadwiga nazwała moją ocenę siebie — znaną Pani (Paniom) z pierwszej części poprzedniego listu — depresją sytuacyjną. Że to tak fachowo się nazywa. Ja przed nimi napisałem dawno „sytuacja ma rację”.

Psychologowie i psycholożki przebiegają nasze szpitalne tereny w tę i nazad z taśmami, papierami, zaafierowani, przejęci. Ich rada sprowadza się do — przyjąć sytuację, jaka jest.

Dla wielu osób ta filozofia i nazwomiana jest jednakowoż pomociłwa, bardzo ją chwala, lubią, od tego kwitną i się zajmują.

Do tego dodają sobie zresztą lekkie nawrócenie albo lekką niepewność, że „tam” nie wiadomo, czy nic nie ma. Poparte to jeszcze bywa medytacją, odmawianiem zaklęć, uprawianiem „metody Evelyn”, wpadaniem w natchnienie literackie a nawet — jak sytuacja da — wydawnicze.

Obrzęku płuc na razie nie ma. Ksiądz—pacjent przyniósł mi dziś kawałek smażonego węgorza, dowiezonego z Suwałk. We wtorek jedzie z lekarzem—pilotem na operację do Monachium. Powiedział, że mi zwróci *Zawał*, pożyczony od Anuli z Anina. Puścił lawinę czytania *Zawału*. Bo nie tylko on, ale czytają lekarki, oddziałowa, pielęgniarki. Zostałem całkowicie uznany za szpitalnego pisarza, z honorami, z dogadzaniem.

— Może pan chce drugie śniadania i podwieczorki?

— Może czego panu brakuje?

Zmieniają mi pościelenie, serwety, piżamy, szlafroki, naprawiają niedomyki drzwi. Sam docent—bóg też mnie uznaje, wita dowcipami o zdrowiu i pisaniu, podobno on w ogóle lubi artystów.

Pielęgniarki o *Zawale*

— pisze pan o szarym życiu

— pisze pan na żywo, jak leci.

Sąsiad spod Łomży dobry, nie krępuje, co by było inaczej w razie żwawo-wrażliwego nadinteligenta. Nie dziwię się więc hrabinie, która na drodze podczas postoju w jeździe szczała bez krępacji przy stangrecie.

23 maja

Z pierwszym księdzem siedzi przy stole drugi ksiądz. Najpierw nie wiedziałem, że to ksiądz (pacjent); zdziwił mnie czarnym szlafrokiem, w którym jak w sutannie przyszedł na film o porywaniu niewidomych bab. Potem słyszałem dziwne rozmowy obydwu księży, a to o teatrze, a to o świecie. Wczoraj ksiądz drugi (już wiedziałem od sąsiada, że to ksiądz) opowiadał pierwszemu:

— Umierała wtedy, kiedy Jan XXIII, w dniu śmierci powiedziała, że idzie pokutować, bo miała dwa życia, zaczęła śpiewać pieśni, a na końcu prorocze piosenki.

Dzisiaj ten szum, ksiądz przy stole

— a ptaki śpiewają... na swoje nieszczęście... one czują, że...

Pouczony starym doświadczeniem wypytałem pielęgniarkę, co to za ksiądz.

— To ten, co był aktorem, Kazimierz Orzechowski.

Doznał powołania 15 lat temu. Ksiądz pierwszy (Feliks Folejewski, nie Dolejewski, czyli ksiądz ef-ef) jutro jedzie stąd karetką szpitalną na samolot do Monachium na operację.

Anula z Anina zajęła się moim horoskopem (ona studiuje astrologię), podobno niesamowity, ze sprzecznościami, spełnieniami, trudami. Wychodzą też złe rzeczy. Powiedziała, że mi więcej powie. A w całości to po 15 latach. Tyle musi ten horoskop opracowywać.

Stonka napadła na Polskę. Tutaj też fruwa. W paski tułów, czerwone skrzydła.

Mój wiejski współmieszkaniec dobry, grzeczny. Dużo chodzi, a tak to studiuje tę samą książeczkę z niemieckimi krzyżówkami. Raz na ileś godzin coś z zamachem zakreśla. Mówi o sprawach choroby precyzyjnym językiem, w tym używa „tamuj” i „je” (jest) jak buforów.

Wczoraj wpadła zmęczona Kicia Kocia, obejrzała kwiaty (carskie korony od Anuli), zawołała:

— Co za wymyślność, co za rozmaitość, tyle milionów lat, żeby takie coś się wykluło na chwilę i opadło... no, zostawia nasiona, ale to niesamowite... ja się aż ich boję... świat sam dla siebie, gdzie spojrzeć, świat sam dla siebie, wszędzie jest pępek świata.

Popołudnie. Leżę w oknie z ptakami, dębami. Te dni są takie olbrzymie. Ciepłe, miękkie. Jestem taki domajowiony, taki domajowiony.

Kupowałem w kwietniu na MDM-ie kwiaty, złote, pytam:

— A trwale?

— Będą stały aż do znudzenia.

Aha! Mój horoskop mają przerabiać na kursach astrologicznych jako jeden z najciekawszych; jestem z tego dumny.

Człowiek ma w sobie różnego rodzaju dumy na śmiech, na dowcip, okazuje się, że mimo lekceważenia, odmachiwania ręką, to jest potrzebne. Trzeba mieć co odmachiwać od siebie, trzeba mieć czym pogardzać. Pytałem lekarki, czy mogę pić mocniejszą herbatę: łyżeczkę pełną (nie płaską).

— Można... można...

A to mnie bardzo uczynnia i rozprzyjemnia.

Teraz w kuchni, do której jak zwykle wchodzi się łubudu! przez windę, parzyłem sobie herbatę. Czekając na zagotowanie wody miałem rozmowę całkiem filozoficzną z salową. Zaczęło się od chorób i stonki,

przeszło na mus śmierci, piękność i okrucieństwo natury, podobieństwo narodzin do śmierci. Salowa:

— Tak, to wszystko jest niedobre... niedobre...

Wtorek 24 maja

Zakropkowały mi się okulary, zakląłem

— cholera!

i gorzej i przyłapałem się na tym, że tu w Aninie odczyłem się kłąć przez krępację i zdechłość zapewne.

Wciąż pogoda jak w raj. No ale wiadomo, że dlatego Adam i Ewa musieli coś zwojować. Mnie na razie mdli od potasu i innych świństw.

Chciałbym coś zwojować, ale nie mam pomysłów i siły.

Wczoraj oglądałem Szekspira w towarzystwie księdza Kazia Orzechowskiego, który ciekawie dogadywał:

— O, pierwsze ostrzeżenie losu.

— Ta niania to stara świnka.

Na zmianę z uwagami o korytarzach pawilonu:

— Czego te baby tak beczą? czego tak beczą?

Potem:

— Ja kiedyś grałem Romea.

— O, Mercuccio to ciekawsza postać od Romea, podobno dlatego Szekspir musiał go wcześniej zabić.

Ja pamiętam K. Orzechowskiego na ekranie na filmie wedle Iwaszkiewicza. Podobał mi się wtedy. Teraz jest w wieku, kiedy uroda przechodzi w karykaturę siebie. Ale w pewnym momencie spojrzałem mu z bliżutka w twarz, w oczy (za okularami), w brwi i nagle ujrzałem tego dawnego Kazia Orzechowskiego i owiał mnie na moment czar. Przedziwna jest sprawa tożsamości i zmienności w wyglądzie człowieka. Ksiądz Felek (ef-ef) zasłabł jednak z wrażenia przed wyjazdem, dziś żegnał się ze mną, byliśmy obaj wzruszeni, przepisałem mu na drogę *Sercowisko*, a on mi zostawił program papieski na Polskę.

Papież na przepustki. To tak, jakby na kartki. No, skoro Mickiewicz na talony.

Mój *Zawal* czytają kolejno wszystkie pielęgniarki. Trafiło pod strzechy! Znów duma ze spełnienia.

Nasza strzecha dobra, nie przepuszcza upału. Czasem tylko w jednym swoim słabym punkcie przepuszcza deszcz i wtedy podstawia się tam od 4 do 7 naczyń z plastiku, różnej mdości kolorów i kształtów.

Niania w *Rom. i Julii* opowiada nieprzyzwoity dowcip, niby kończy, a potem go jeszcze raz. To mi się podoba, bo niektórzy ludzie, tak zwani zwyczajniejsi, opowiadają dowcip jeden raz po drugim i jeszcze mają chęć na potrojenie.

I jest miejsce w czasie balu, kiedy do starego Kapuletta kuzyn mówi, że oni tak tańczyli 30 lat temu. Stary Kapuletti, że mniej, a tamten, że więcej, i to trwa. Tego fragmentu też chyba nigdy nie słyszałem.

Jeszcze o historii wyglądu. Ludwik H. znał panią (kalwinkę, jak i on sam) wysportowaną, młodą. Teraz — z racji paczek (mimo niewierzącości) — spotkali się pod okiem opatrności kalwińskiej na Świerczewskiego (na Lesznie) po tyłu czasach. Ona do niego

— Ludwik!

a on do niej, że zmieniona, gruba

ona, że

— trudno.

On o niej do mnie potem:

— Ani jednej zmarszczki do uszanowania.

Kwitną już dzikie bzy, akacje. Pod oknami kosili dziś koniczynę. Podobno zabierają się do kwitnięcia lipy. Natura bryknęła na zapas.

Nie wiem, czy pisałem o śnie-wizji księdza Felka, tego, co już jest w Monachium na operacji. Nie znał *Życia po życiu*. Opowiadał mi, że podczas ostatniego zawału leżał 3 dni nieprzytomny. Pamięta jeden sen czy wizję. Uczucie, jakby się wywracał podszewką na drugą stronę siebie, unosił pod sufit, potem była otwarta przestrzeń a za nią, nad nią wielka świetlista kula, ku której się zbliżał. Ale ta kula świecąca nie raziła go i odczuwał ją jako coś znanego.

26 maja, czwartek

Dobrze, że maj się kończy. Kilka lat temu śniło mi się, że umarłem coś 25 czy 27 maja, pogrzeb miał być na początku czerwca. I jak wspomniałem w liście szpitalnym — nakłada się to na numer z szatni 1983 sprzed 20 lat. Data możliwej śmierci.

Wczoraj zapędziłem się w zrywaniu kwiatów, bo kosili za oknem łączkę. Naschyłałem się strasznie dużo i prędko razy i potem zmęczenie serca. Późnym wieczorem niepokój sercowo-oddechowy, zdecydowałem się iść do kontuaru sióstr, no i obie z lekarką wbiły mi zastrzyk z euphyliny i furosemidu. Co od razu pomogło. Siusianie ze spaniem. Spanie z siusianiem. Tak że spania utlukłem ze 3–4 godziny, ale dobrze jest.

Dziś święto leżenia! Śniadanie do łóżka. Na obiad pójde. Potem znów łóżko. Jeśli kto przyjdzie, będę leżał, mało mówił. Niech goście się ruszają, gadają. Na ogół woła gadać niż słuchać.

Na osłonę potasową piję tzw. mleczek, nawet dobre w smaku, ale muszę odczekać po polyku i przepelzie proszku.

Mój sąsiad dobry, usłużny, cierpliwy.

Heca polega na tym, że człowiek musi się nagle odczyścić części siebie. A to trudne. Myli się. Podświadomość nie słucha, świadomość się krzywi. Od jedzenia twardych zielenin sztuczne zęby kaleczą mi dziąsła, płuczę azulanem, ale już go brak i już na recepty. Od potasu w płynie o smaku zajzajeru w brzuchu potem ruch jak w węzowisku. Więc dostaję potas ostatnio w ogromnych opłatkach. Kiedy dochodzi do żołądka, zaczyna boleć. Wtedy naciskam mocno palcami żołądek i przeciskam ten ból coraz niżej, on pomaga.

I taka to polka! — jak mówiła praczka na Powązkach, prała, prała, przestawała, opowiadała, konkludowała.

— I taka to polka

i dalej prała (może już to kiedy przytaczałem).

Czytam ostatnią powieść Lema *Wizja lokalna*. Ciekawe pomysły, ale strasznie zagęszczone dowcipami. I cięży grzech długości. Po latach po raz drugi czytam *Zielone piekło* Maufrais, wdzieranie się w głąb Gujany w 1949 r. Dziennik znaleziony w dżungli daleko, daleko. Sam Maufrais nie znaleziony. Do tego słucham (słuchawkowo) bardzo starogreckiej liturgii. Wysoki tenor prawie mueziński na tle głosów:

„Ky — yrie elej — son

Ky — yrie elej — son”

w rytmie pół-skoczego bolera-majufesa. Ciekawostka: wymawiają hagijos

nie żadne ajos.

Maufrais zapisuje na początku wyprawy „Bogowie lasów, wód, drzew, nieba i ziemi, pozwólcie przejść samotnemu wędrowcowi”.

Nie pozwolili.

Tytuł starogreckiej liturgii „Panie, pamiętaj o nas wszystkich w Dzień Sądu Ostatecznego!”

27 maja

Książd Kazio Orzechowski czaruje ludzi. Np. na moje „dzień dobry” przy jedzeniu odpowiada „dzień dobry panu Mironowi”, wieczorem

odprawia msze, całuje pielęgniarki przy lekach, gości ma a gości. Rano go gnali w gimnastyce po krążgankach w jednym korowodzie z moim wiejskim krawcem (krawiec-rolnik). Powiedziałem lekarce:

— To jak w tańcu śmierci, wszyscy razem.

Ona coś chciała może innego w drzwiach już
ale ja

— wszystkie stany
przytaknęła

— wszystkie stany
i wyszła.

A sen miałem taki: korytarze, ludzie, pośrodku podwórko, rudy na rowerze, nagle wiatr zwiewa wszystko, groby, groby jadą jak na szynach. Okazuje się, że Nanka żyje, choć wiem, że 15 lat temu umarła. Choruje.

Wołają

— mickiewiczowskie zapalenie gardła!

jednocześnie mi jej żal i chcę od niej z daleka.

Zjawia się Anula. Ja

— co oni chcą? raz umarli

Anula

— oni tak potrafią, mam pewne przypuszczenie...

ale tu wyszła, bo się spieszyła.

Towarzystwo kładzie się spać po korytarzach, patrzę: na jednym łóżku młodzieniec obok kogo? Nanki? Boję się sprawdzać, a muszę jej podetkać blisko czarny szal ażurowy. Nie, młodzieniec śpi z innym młodzieńcem. Chowam się do kabiny z okrągłym małym okienkiem. Czuję — nadchodzi Nanka. I tak mnie znajdzie. Wyłązę. Ona leży, a ja jej daję pieniądze

— masz dwa tysiące, cztery

ona (a już nie bardzo ona, czuję szwindel)

— to prywatnie, kurort...

zachowanie całkiem z nią sprzeczne

— masz 6 tysięcy, mało?

buntuję się

— to oszustwo! — odbieram 6 tysięcy, widzę że to facet z czworgiem niebieskich oczu w jednym ciągu, te oczy latają filuternie.

Pytam

— czy zawsze wierzysz w to, czy — poprawiam się — chcesz wierzyć, poprawiam się — chcesz żeby ci uwierzyli? udaje ci się?

Przytakuje.

Tu przebudzenie.

28 maja

Deszcz, cicha sobota, ludzie się któryś raz już wymieniają. Odjeżdża pani, która wykrzykiwała przy obiedzie

— dla mnie dieta kaloryczna! za dużo kartofli

— to niech pani część zostawi — na to salowa

dziś pielęgniarka mówi jej, że była miła, ta to przyjmuje

— cieszę się, że nie zostawiam po sobie nic złego.

Hasło dla siebie

„obejrzałeś kawał świata?

to się z niego wyprowadzaj!”

Docent wczoraj na obchodzie

— taką ma pan wydolność, jaką pan ma, więcej się nie da, musi pan bardzo uważać, nawet jak pan będzie łąpał pchłę, to powoli.

Dwa płaty (w lewym i prawym płucu) nieczynne. Serca tylko część. No, dobra jest. Co się da, to się da.

Bardzo pozdrawiam

MIRON

O s o b y nie wymienione z nazwiska, z kręgu Mirona Białoszewskiego:

— adresatki *Listów*, czyli „Kochane Panie Eumenidy”, to prof. Maria Janion, nazywana również „Panią Misią”, prof. Maria Żmigrodzka, nazywana „Panią Maryną”, oraz dr Małgorzata Baranowska, nazywana „Panią Małgosią” lub „Małgosią”;

— Kicia Kocia, która zamówiła *Tango*, to Halina Oberländer, malarka;

— Jadwiga — Jadwiga Stańczakowa, niewidoma poetka, zamieszkała na Hożej. Tam Miron Białoszewski został przewieziony po wypisaniu ze szpitala Grochowskiego, a także, po wyjściu ze szpitala w Aninie, tam umarł;

— pani Hania K. — dr Hanna Kirchner;

— Bożena z PIW-u — red. Bożena Szewczyk;

— Anula z Anina — Anna Żurawska, anglistka zamieszkała w Aninie;

— PIW-ianki — panie redaktor: Bożena Szewczyk i Marianna Sokołowska;

— pani Kalina — siostra Bożeny Szewczyk.